12906
5

Z księgozbioru
Nr 1261
Stanisława Zielińskiego

EX LIBRIS
CZY
TEL
NiK
SPÓŁDZIELNIA
WYDAWNICZA

319095

TŁÓMACZENIA

ANTONIEGO EDWARDA

ODYŃCA.

TOM PIĄTY.

z księgozbioru Stanisława Zielińskiego № 1261

Mazeppa.

Peri i Hajj.

Balladj.

WILNO.
drukiem Józefa Zawadzkiego.
1843.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno, 1843 r. 5 Listopada.

Cenzor Jan Waszkiewicz.

475058

MAZEPPA.

Powieść

LORDA BYRONA.

GUSTAWOWI HODENIUSOWI

NA PAMIĄTKĘ PRZYJAŹNI I MIŁYCH WIECZORÓW,

NA WSPÓLNÉM CZYTANIU POEZYI SPĘDZONYCH,

POŚWIĘCAM.

A. E. O.

Podanie o Mazeppie, na którém się treść niniejszéj powieści opiera, znane jest u nas powszechnie. Autor wziął je z historyi Karola XII. przez Woltera, który je za prawdziwe przytacza. Za takie też uchodziło i u nas, aż do czasów ogłoszenia znakomitych Pamiętników Jana Chryzostoma Paska, z czasów Króla Jana Kazimierza, gdzie obok innych szczegółów, tyczących się piérwszéj młodości Mazeppy i pobytu jego na dworze królewskim, znajduje się opis prawdziwego zdarzenia, które stało się powodem i wyjazdu Mazeppy na Ukrainę, i rozszérzonéj o nim w kraju powieści. Porównanie rzeczywistéj prawdy z poetycką

fikcyą podania, może tu ujść za ciekawą skazówkę, jak się tworzą wszystkie tradycye gminne; to jest, jak poetycka wyobraźnia ludu, dopełniając i upiększając stopniami dany wypadek, nakoniec go całkiem przekształca.

Obszérniejsza wiadomość o dalszém politycznem życiu Mazeppy, jako naprzód Assauły, a potém Hetmana Kozaków, znajduje się w Athenæum z r. 1842, przez Alexandra Hr. Przezdzieckiego.

MAZEPPA.

I.

Było to wkrótce po dniu pod Półtawą,
Gdy los odstąpił Szwedzkiego Karola,
A wojsko jego z wstydem i niesławą,
Zaległo trupem, lub uciekło z pola.
Szczęście i chwała, jako ich czciciele,
Płoche w przemianach, w łaskach niestateczne,
Zastępom Piotra stanęły na czele,
I mury Moskwy znów stoją bezpieczne.
Aż znowu kiedyś, z straszliwszemi gromy
Nie przyjdzie burza: i w jéj ognisk dymie

Nie zgaśnie, jako meteor znikomy,
Większa potęga i sławniejsze imie *).
Groźna nauka dla ludów i tronów,
Cios dla jednego, wstrząśnienie miljonów!

II.

Tak los zwykł igrać z wielkością człowieka. —
Karol ranion y przed wrogiem ucieka,
W czwał, dniem i nocą, po polach oblanych
Krwią swoją własną i swoich poddanych.
Bowiem tysiące poległy, ażeby
Króla z ostatniéj ratować potrzeby;
A przecież żaden, w tak rozlicznym tłumie,
Nie śmiał złorzeczyć poniżonéj dumie;
Nikt się nie pomścił, choćby mógł bezkarnie,
Słowem wyrzutu, za śmierć i męczarnie.
Koń jego poległ: — Gieta dał mu swego,
I na śmierć pewną został w miejscu jego.
Lecz i ten długo gnany bez wytchnienia,
Omdlał nakoniec i padł z wysilenia.

*) Rok 1812.

I w głębi lasów — gdy w koło na błoni
Świecą się ognie zwycięzkiéj pogoni —
Król musi spocząć: — pod cieniem jedliny,
Na suchych liściach; — toż-li są wawrzyny,
Co dla się z młodu polewał krwią ludów?
To-li spoczynek bohatérskich trudów? —
Skostniałe członki, krew zakrzepła w ranie,
Noc zimna, wietrzna — mrożące posłanie;
Sen, jedną ulgę dla myśli i ciała,
Krew gorączkowa z ócz mu odpychała.
Przecież, choć w mroku nie śledził go świadek,
Król po królewsku znosił swój upadek.
Pod moc swéj woli podbijał cierpienia,
Jak niegdyś wrogi; a żal i westchnienia,
Milczały w jego łonie tajemniczém,
Jak niegdyś ludy przed jego obliczem.

III.

Z nim grono wodzów — o! jakże zmniejszone,
Od dnia, co dla nich miał bydź dniem zwycięztwa!
Lecz za toż serca w wierze doświadczone:
Los zmógł ich siłę, lecz nie zachwiał męztwa.

Smutni, w milczeniu, cugle dzierżąc w dłoni,
Każdy szerokim płaszczem obwinięty,
Siedzą przy Królu, i obok swych koni.
Nieszczęście zbliża człowieka z zwierzęty:
W niebezpieczeństwie, jeździec i koń jego
Są jakby bracią jeden dla drugiego.
Śród nich, Mazeppa, pod rozłożystemi
Gałęźmi dębu, na chropawéj ziemi,
Słał sobie liście i drzewne konary.
Jak dąb ów silny, i ledwo mniéj stary,
Hetman Kozaków — jak śród gromów wojny,
Śród burzy losu zimny i spokojny.
Ale nim uległ, zwyczajem Kozaka,
Opatrzył naprzód wiernego rumaka.
Otarł go burką, i głaszcząc po grzywie,
Cieszył się, patrząc jak pasł się skwapliwie:
Bo nie był próżen téj jednéj obawy,
Że jeść nie zechce zaroszonéj trawy.
Lecz w tém koń-kozak był równy Mazeppie:
Dziki i chyży, jak wicher na stepie,
Mało dbał o to, czém wzmoże swe siły,
Byleby panu w potrzebie starczyły.

W skwary jak w mrozy, wytrwały do jazdy,
We mgle bez słońca, i w nocach bez gwiazdy,
Na krok w pustyni nie zbłądził do rana;
W tłumie tysiąców znał twarz swego pana,
I na głos jego, biegł doń pędem strzały,
I ślad w ślad za nim szedł choćby dzień cały.

IV.

Gdy tak koń pasł się — Mazeppa tymczasem,
Wsparłszy o gałąź dzidy swojéj drzewce,
Wyjął krócice zatknięte za pasem,
Spójrzał czy suchy był proch na panewce,
Czy mocne skałki, czy spust nie zawodny.
Szablę swą potém otarł z rosy chłodnéj,
Brzeszczot i pochwę;— i z olster u siodła
Dobył chleb suchy i wodę ze źródła;
I jakby krajczy śród dworskiéj biesiady,
Obdzielał Króla i resztę gromady.
Król gwałtem uśmiech wymógłszy na czole,
By się zdać wyższym nad ból i niedolę,
Przyjął swój udział i rzekł:— «Wyznać trzeba,
Że choć nam wszystkim nie skąpiły Nieba

Sił i wytrwania: nikt z nas w téj pustyni,
Mniéj nie rozprawia a więcéj nie czyni,
Jak ty, Mazeppo!— przykład twój co chwila,
Jak i twój zapas, nas wszystkich posila.
Od Alexandra i od Bucefała,
Dzielniejszéj pary ziemia nie widziała,
Jak ty i koń twój;— a od przodków Scytów,
Godziencś jeźdźca najpierwszych zaszczytów."—
A Hetman na to: «Strzeż Boże nauki,
Jaką za młodu doszedłem téj sztuki!"—
— «Czemu?"— Król spytał— «twój przykład, Hetmanie,
Broni twych mistrzów przeciw twéj naganie." —
— «Długoby o tém mówić"— rzekł Mazeppa —
«A nie czas teraz;— noc mglista i ślepa
Pozwala spocząć, by jutrzejszą porą
Śpieszyć tém prędzéj. Wrogi nie za górą —
Na niebie widać ich ogniów odbłyski.
Rano wstać trzeba;— a świat to nie blizki
Do brzegów Dniestru, nim rumaki nasze
Puścim swobodnie na turecką paszę.

Śpij więc, o Królu!— ja zastąpię straże."—
—«Owszem"— rzekł Karol— «proszę cię i każę,
Powiedz nam twoję tę powieść:— a może,
Słuchając prędzéj oczy do snu złożę,
Bo senność dotąd mych powiek nie klei."—
—«A! gdy rzecz o to:— w téj miłéj nadziei—
Rzekł stary Hetman— «chętnie w méj pamięci
Odnowię przeciąg lat siedemdziesięci.
Mogłem mieć wtedy rok dwudziesty prawie.
Na dworze Króla— Jana Kazimierza—
Siedem lat paziem przebyłem w Warszawie.
Był to Pan dobry: nie tak na rycerza,
Jako na mędrca;— jak niebo od ziemi
Z Waszą Królewską Mością!— Uczty, bale,
Xiążka, rozmowa z ludźmi uczonemi,
To jego rozkosz:— o wojennéj chwale
Ani pomyślał; tém mniéj o zaborach
Ziem i państw cudzych. Prawda że z swém jednem
Dość miał kłopotu. Lecz w życiu powszedném,
Gdyby nie Sejmy w ustawicznych sporach,

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA

I gdyby w domu nie swarliwa żona,
Wiódłby dni miłe Króla Salomona.
Lecz dwie te rzeczy— z dodaniem i trzeciéj:
Zajść, skarg i dziwactw zawistnych piękności,
Co w koléj Króla imały w swe sieci—
Truły mu rozkosz myśli i miłości.
Aż obmierziwszy blask świata i tronu,
Skończył dni w murach świętego zakonu.
Ale to było potém:— za mych czasów,
Król nie o fórtach rozmyślał klasztornych.
Zamek się pękał od ciągłych hałasów
Dziennych pijatyk i tańców wieczornych.
Co było wyższych z bogactw i zaszczytów,
Każdy rad nie rad kręcił się w tym wirze;
A żaki ze szkół Ojców Jezuitów,
Różnemi tony, na chropawéj lirze,
Sławili cuda królewskich *splendorów*.
I tak ta wierszy mania uczona,
Objęła wszystkich: dworzan, senatorów,
Mnie nawet w końcu: żem kilka wieczorów,
Kandował żale czułego Damona.
Djabła to warte!— a jednak bywało,

Kiedy się czasem z niechcenia, z nienacka,
Przy teorbanie dumkę zaśpiewało:
To jakby ogniem grała krew kozacka,
A i łez czasem popłynęły zdroje!
Bo jak to mówią: gdzie bez kolców róże?
Gdzie człek bez troski?— a paź tak ma swoje,
Jak król i hetman.— Przy królewskim dworze,
Mieszkał w Warszawie jeden z Kasztelanów.
Starosta starostw bez liku, pan z panów,
Możny, bogaty, jak mina Olkusza —
A przytém dumna i pozioma dusza.
Zasługi przodków mniemając swojemi,
Na Ukrainie, w Litwie i Koronie,
W całém królestwie — ba! na całéj ziemi,
Sądził się piérwszym pomiędzy piérwszemi,
I tak się godnym czuł zasiąść na tronie,
Jak— jak, rzec prawdę— każdy z polskich panów.
Lecz co w obliczu nas młodszych dworzanów,
Było przedmiotem i czci i zazdrości,
To żona jego:— cud, anioł piękności!
Ofiara dumnéj rodziców przemocy,
Przy boku starca, jako dzień przy nocy,

Młodsza od niego lat najmniéj trzydzieści,
W pełni powabów i krasy niewieściéj,
Wiodła dni w nudach i tajonych żalach.
I kto ją widział na ucztach i balach:
Blask jéj klejnotów, i mgłę smutku w oczach,
Bladość w jéj licach, i perły w warkoczach:
Równać ją musiał do królowéj sadu,
Gdy więdnie zgięta pod ziarnami gradu.

V.

«Ja byłem wtedy — dziś to bez przechwałek
Powiedzieć mogę, gdy trzy ćwierci wieku
Dźwigam na barkach;— byłem tęgi śmiałek.
Syn Ukrainy, nie kąpany w mleku,
Z odwagą w sercu, a próżnością w głowie,
Żywy, wesoły:— nikt w czynie ni słowie,
Czy to z paniątek, czy ze szlachty braci,
Nie śmiał tak bardzo zajść w drogę Mazeppie.
Gładkość też lica i giętkość postaci,
Nim je wiatr zwarzył i schylił na stepie,
Inaksze były niż dziś;— i na czole,
Nim je zorały losu nawałnice,

Była moc duszy; i oczy sokole
Umiały ogniem sypać na dziewice.
Wszystko to przeszło — prócz téj jednéj mocy,
Co choć już może nie błyszczy jak wprzódy,
Nie zgasła przecież:— gdy wam w takiéj nocy
Jak dzisiaj, w lesie, śród wrogów przemocy,
Prawię me stare, miłośne przygody.
Lecz wracam do nich.— Piękność Izabelli —
Ty było imie żony Kasztelana.
Zda się ją widzę — cała zda się w bieli,
Jak raz ostatni widziałem — ubrana,
Spływa z powietrza i staje przede mną.
A jednak czuję, że chciałbym daremno
Opisać w słowach jéj postać i lice,
A nadewszystko ten blask czarnych oczu,
Te pełne, duże, głębokie źrenice,
Co jak dwie gwiazdy w cichém wód przezroczu,
Zdały się pływać w strumieniu łez jasnych,
I topnieć we łzy od promieni własnych!..
Całe w miłości — napoły w omdleniu,
Napoły w ogniu:— jakoby dwaj Święci,
Co już na stosie płomieniem objęci,

Wzrok wznosząc w niebo, trwają w dziękczynieniu,
Jakby za rozkosz w śmierci i cierpieniu!—
Czoło jéj gładkie, jak przejrzysta woda,
Gdy się w niéj letnia odbija pogoda,
A żaden powiew powierzchni nie zmąca,
A na dnie tylko blask nieba i słońca.
Twarz jéj i usta — lecz co tu wyrazy?
Dość — jam ją kochał — kocham jeszcze teraz;
Dla niéj to lata zniewagi, obrazy,
Zniosłem cierpliwie: — złorzeczyłem nieraz
Sobie, jéj nigdy; — za nią nie za siebie,
Ha! wziąłem pomstę; — i oby sąd w niebie
Mnie karał za nią! — Czém w świecie i w sobie
Byłem i jestem — jéj to wszystko dzieło.
Serce Mazeppy twarde — lecz aż w grobie
Zagaśnie chyba, gdy raz zapłonęło.

VI.

«Jam kochał — wzdychał — spotykają w tłumie,
Milczał — a jednak czuł, że mię rozumie.

Jest tysiąc tonów, tysiąc znaków myśli,
Co każdy pojmie, a nikt nie określi.
Skry mimowolne namiętnéj duszy,
Co z chmur jéj uczuć, jéj burz i katuszy,
Pryskają same, i jedna po drugiéj,
Tworzą ów łańcuch tajemniczy, długi,
Co gdy raz tylko spoi duszę z duszą,
Już go na wieki razem dźwigać muszą,
A każde wzajem uczucie, myśl każda,
Przebiega po nim— jak piorun lub gwiazda.—
Jam kochał— milczał— z bojaźni czy sromu?
Nie wiém;— i nawet, kiedym już w jéj domu
Częstym był gościem: ilekolwiek razy
Chciałem przemówić: czułem jak wyrazy
Krzepły mi w ustach;— aż przyszła godzina.
Jest gra— nie pomnę nazwiska— dziecinna,
Prosta gra w karty;— do niéj raz za stołem,
Nie wiém jak, z czego, zasiedliśmy społem.
Grałem nie myśląc:— ale bydź tak blizko
Téj co się kocha: twarz w twarz, oko w oku:
Każde jéj tchnienie, każdy promień wzroku
Chwytać, i w jedno ślewać je ognisko:

O! to jest rozkosz, za którą miljony
Przegraćby warto!— myśmy o nic grali.
Lecz widząc wzajem jéj wzrok zamyślony,
Jéj twarz płonącą rumieńcem korali:
I natężenie, z jakiém się zdawała
Patrzeć na karty, choć nic nie widziała;
I długość czasu gry naszéj, do któréj,
Tajemna, zda się, wiązała ją siła:—
To gdy postrzegłem:— jakby piorun z góry,
Myśl nagła we mnie błysła— zaświeciła—
I z ust i z oczu, serca tajemnica,
W łzach, iskrach, słowach, wybuchła zarazem.
Ona słuchała:— błędna jéj źrenica
Utkwiła we mnie:— i choć nie wyrazem,
Odpowiedziała;— i od téj już chwili,
W sobieśmy tylko i dla siebie żyli.

VII.

«Kochałem, byłem kochany wzajemnie.
Lecz jeśli prawda, co powszechne zdanie
Głosi o tobie, Najjaśniejszy Panie,
Że dotąd nie znasz co miłość;— daremnie

Byłoby kréślić dalsze mojéj dzieje.
To, na co we mnie cała krew goreje,
W tobie pogardy może uśmiech wzbudzi.
Ale cóż czynić?— nie każdemu z ludzi
Dano, jak tobie, woli majestatem
Umieć panować nad sobą i światem.
Jam jest— lub raczéj, jam też był Hetmanem,
Królem tysiąców;— z sercem niezachwianém
Wiodłem je w ogień;— a przecież daremnie
Chciałem zmódz słabość natury człowieczéj,
Zmódz serce moje.— Lecz wracam do rzeczy.
Kochałem — byłem kochany wzajemnie.
Były to chwile najszczęśliwsze w życiu!
Codzień ją mogłem widywać w ukryciu,
I żyłem tylko nadzieją téj chwili.
Czas, świat i ludzie stali mi się niczém:
Wschód mego słońca był przed jéj obliczem,
Noc mojéj duszy— gdyśmy się dzielili!
O! teraz jeszcze całą Ukrainę
Oddałbym chętnie za taką godzinę,
Za owe chwile — kiedy paź ubogi,
Na całym świata obszarze, nie miałem

Nic, prócz jéj serca — i nic mieć nie chciałem,
Prócz, bym ją częściéj widywał bez trwogi!
Wiém, że jest wielu, w których tajemnica
Bronnéj miłości, jéj zapał podsyca.
Jam tego nie czuł:— nie było mi trzeba
Tych sztucznych podniet; – ja oddałbym życie,
By w obec świata, i ludzi i nieba,
Nazwać ją moją!— Przeczuwałem, zda się,
Co mię już w blizkim spotkać miało czasie,
Za to, żem tylko mógł kochać ją skrycie.

VIII.

«Jak cień za szczęściem idzie ludzka zawiść.
W Warszawie, tłumy jéj możnych czcicieli,
Szeptali o mnie, lecz wierzyć nie chcieli.
Jam drwił z ich dumy, nie dbał o nienawiść,
I latem za nią jechał na Podole.
Tam tając imie, nieznany nikomu,
W cichym szlachcica ubogiego domu,
O miedzę z zamkiem mieszkałem przez pole.
Aż traf, czy zdrajca, odkrył kroki moje.
I dnia jednego, w zbrojnych dworzan kole,

Kasztelan w gaju pojmał nas oboje.—
O! widzieć było gniew pana i męża,
Gniew pychy jego!— Nie miałem oręża,
Lecz choćbym w zbroi był od stóp do głowy,
Musiałbym uledz tłuszczy i przemocy.
Było to w czerwcu — już na schyłku nocy,
I nie sądziłem, bym ujrzał dzień nowy.
Zniskąd odsieczy, a sędzia we wrogu!—
Duszę więc w myślach poleciwszy Bogu,
Czekałem śmiało méj śmierci wyroku,
I drżałem tylko o los Izabelli.
Jaki był, nie wiém;— śród drzew, i w pomroku,
Widziałem tylko miganie się bieli
Szat i zasłony:— gdy nawpół omdloną,
Szybko, na rękach, do zamku niesiono.
Mąż został przy mnie — i jako złoczyńce,
Kazał wieść w zamku zewnętrzne dziedzińce:
Kazał giestami — bo nie mógł już głosem.
Drżąc cały z gniewu i pieniąc się wściekle—
Król mógłby może pogodzić go z losem;
Ale paź!— czułem, że rażon tym ciosem,
Kary dość dla mnie nie znalazłby w piekle

IX.

— «Konia tu! konia!"— spójrzę, aż prowadzą
Czarta nie konia:— czterech masztalerzy
Trzyma za uzdę — i rady nie dadzą.
Wspina się, parska, grzywa mu się jeży,
Żar iskrzy z oczu — z wściekłości i zgrozy.
Dzień ledwo temu jak wzięty ze stada,
Dziki syn stepów!— Przynoszą powrozy,
Do grzbietu jego wiąże mię gromada.
I nagle wszyscy, z przeraźliwym wrzaskiem,
Siekąc biczami i strasząc ich trzaskiem,
Zrozpaczonego puszczają na wolę.—
Wypadł za bramę:— wiatr, strumień wezbrany,
Grom nie tak szybki — jak on rozhukany,
Ze mną na grzbiecie, pomknął się przez pole.

X.

«Lecim i lecim — na oślep, przed siebie,
Prosto jak strzała:— brzask piérwszy na niebie
Posrebrza chmury, lecz jeszcze nie świeci;—
Noc, step przed nami;— koń leci i leci.

Tchu brak mi w piersiach, patrzę nieprzytomnie,
Wzrok mi się kręci:— i tylko w koło mnie
Słyszę świst wiatru;— a ostatnie głosy,
Co długo za mną, przeciągłemi echy,
Ścigały w stepie i biły w niebiosy:
Były to wrzaski i szydercze śmiechy
Zgrai mych wrogów.— Co krwi we mnie było,
Zawrzała ogniem:— i z nadludzką siłą,
Targnąwszy głową, zerwałem ogniwo,
Co kark mój z końską związywało grzywą,
I w tył, jak mogąc, zwrócony pół ciałem,
Wzajem obelgi i klątwy miotałem.
Bezsilne klątwy!— ale i te może
Wiatr i pęd konia zagłuszył w ich uszach.
I to mię boli:— bo chciałem w téj porze
Ślad wzgardy mojéj zostawić w ich duszach.
Potém — ha! potém! nie próżnemi słowy
Jam im odpłacił!— Podole i stepy
Pomną obrazę i zemstę Mazeppy!
Ten gmach, te baszty, ten mur opasowy,
Co mógł urągać wojska oblężeniu,
Gdzież są?— nie został kamień na kamieniu;

Na polach jego nie rośnie dźbło słomy;
Na gmach i pola spadł ogień Sodomy!
Cegły, kamienie w popiół się rozwiały;
W ognistych kroplach, jako deszcz obfity,
Stopniały dachów ołowiane szczyty,
Co go przed zemstą zakryć nie zdołały!—
Nikt z nich nie myślał o tym dniu odpłaty,
Gdy na grzbiet koński, jako martwe drewno,
Wiążąc mnie z wzgardą — i na zgubę pewną
Puściwszy — szydząc wznosili wiwaty!
Nikt z nich nie myślał, że z téj saméj błoni,
Ten sam, na czele stu tysięcy koni,
I stu tysięcy dzid, szabel, mołojców,
Przyjdzie jak piorun — i nad głową zbójców,
Sprawiedliwości i zemsty zarazem,
Sąd czynić będzie — ogniem i żelazem!—
Bo czas nakoniec równa wszystkie rzeczy.
I byle umieć jak korzystać z pory,
Nié ma na świecie potęgi człowieczéj,
Coby ujść mogła przed zemstą:— do któréj,
Bodźcem jest pamięć krzywd takich — a celem,
Tryumf przed światem nad nieprzyjacielem.

XI.

«Tymczasem daléj i daléj, bez toru,
Koń mój, jak wicher, jak błysk meteoru,
Leci i leci:— wsie, ziemia uprawna,
W tyle za nami zostały już zdawna.
Przed nami w koło, jak oko zasięga,
Step równy, pusty — w końcu widnokręga,
Przeze mgłę tylko widać, że jak pasem,
Sinym po bokach otoczony lasem.
Niedawno jeszcze ćma Krymskich Tatarów,
Wracając z Polski z jeńcami i łupem,
Dognana w pośród tych dzikich obszarów,
Przestrzeń ich w koło zasłała swym trupem.
Oprócz ich mogił widzianych zdaleka,
Żadnego śladu ni dzieła człowieka.
My lecim, lecim;— już przeszedł wschód słońca,
Lecz dzień pochmurny i cisza dusząca.
Słyszę świst w uszach:— lecz nigdzie powiewu,
By nim choć westchnąć;— a koń chrapiąc z gniewu,
Leci i leci. — Mdłość głowy zawrotu
Owładła członki; zimne krople potu

Leją się ze mnie.— Chcę mówić modlitwy,
Próżno!— koń leci;— myślę, że się znuży,
Że zwolni biegu; że takiéj gonitwy
Nad dwie, trzy godzin, nie wytrzyma dłużéj.
Próżne nadzieje!— ciężar ciała mego
Był niczém — owszem, był bodźcem dla niego.
A ruch mój każdy — skorom się odważał
Poruszyć na nim — czułem, jak pomnażał
Pęd, i strach jego, i gniew jego pychy.
Probuję głosu:— słaby był i cichy;
Lecz na dźwięk piérwszy, jak rażony strzałem,
Koń drgnął, podskoczył, i z wściekłym zapałem
Pędził tém chyżéj — i na każde słowo,
Wstrząsał się, jakby na trąbę bojową.
Powrozy w ciało coraz głębiéj grzęzły,
Aż krew pryskając zbroczyła ich węzły;
A jakby ognia żywego płomienie,
Pierś mi i usta paliło pragnienie.

XII.

«Las tuż przed nami:— od brzega do brzega,
W szerz horyzontu step zda się przelega.

Las drzew odwiecznych, których nawet czoła
Huragan stepu uchylić nie zdoła.
Lecz te gdzie niegdzie:— a pomiędzy niemi,
Gęstwa zarośli z gałęźmi wiotkiemi,
W całém bogactwie liści i zieleni
Szat swoich letnich;— nim wicher jesieni,
Przyjdzie z za morza, i w dzikim poświście
Rozmiecie w stepie zczerwieniałe liście,
Gdzie już z pod szronów, przy słońca zabłysku,
Lśnią, jak krew skrzepła na pobojowisku,
Gdy je okrywszy cień nocy zimowéj,
Posrebrzy mrozem niegrzebane głowy,
I tak je stwardni, że próżno dziob kruka,
Z dzwoniącém echem, w zmarzłe twarze stuka.—
Była to ciemna, zielona dąbrowa
Młodszych zarośli;— dąb, sosna masztowa,
Zrzadka gdzie niegdzie;— o! i gdyby nie to,
Lasby ten dla mnie ostatnią był metą.
Lecz wiotkie krzewy, nie szarpiąc zbyt srodze,
Łatwo przed nami rozdały się w drodze.
Zamknąłem oczy, ku grzywie przypadłem,
I więzom moim dzięki, że nie spadłem.

Koń mknął jak piorun:— bo z tyłu gromadą,
Ścigało wilków rozjuszone stado.
W stepie nas jeszcze zajrzeli przed lasem,
I zewsząd z wściekłym opadli hałasem.
Koń przez ich środek przeleciał jak strzała,
A ślad w ślad za nim biegła ruja cała.
Nie mogąc dójrzeć, z obudwu wściąż boków,
Słyszałem w lesie trzask, szelest ich kroków;
I czasem tylko przez krzewy cieniste,
Migał grzbiet bury, lub oczy ogniste.
Lecz gdy las rzednieć zaczynał ku błoni,
I coraz bliżéj brzmiał czwał ich pogoni,
Podniósłszy głowę, spójrzałem z obawą:
O strzał zaledwo pędzili się ławą,
Jak stado owiec, a chyżéj niż charty.
Tak czy tak, czułem, że śmierć mię nie minie;
Lecz iść na pastwę bestyi rozżartéj—
Myśl ta straszliwa, w téj nawet godzinie,
Wszystkie me włosy zjeżyła na czole;
I wszystkie inne obawy i bole,
Umilkły przed nią.— Całe me nadzieje
Były z początku, że koń mój zwolnieje,

Że padnie w końcu;— teraz tylko o to
Drżałem, by nie padł;— i głosem, i ruchem,
Chciałem go, zda się, przenikнąć mym duchem,
I wzmódz mą siłą, i natchnąć ochotą,
By ujść przed rują.— Lecz strach mój był marny!
Koń, zda się, z trwogą, wziął i chyżość sarny.
I z mniejszym pędem, pieniąca się fala,
Z porohów Dniepru, w dół z góry się zwala,
Jak on wściąż pędził w niepojętéj sile,
Aż las i wilcy zostali się w tyle.

XIII.

«Lecim i lecim:— już blizko południa,
A krew mi ścięło jakby zimno grudnia;
I z nową mdłością przyszedł zawrót nowy.
Zwisłem w dół głową jak potok zimowy.
Brzemię mych cierpień złamało wytrwałość.
I gdy dziś jeszcze przypomnę ich całość:
Wstyd, wściekłość, rozpacz, strach i przerażenie,
Więzy i nagość, ból, głód i pragnienie,
I myśl o wrogach i mojéj zniewadze:
Dziwię się własnéj mocy i odwadze,

Żem zniósł to wszystko; a nie że na chwilę
Ciało duchowéj nie sprostało sile.
Wzrok mi się zaćmił, a członki bezwładne
Zwisły ku ziemi;— zdało się że spadnę.
Ale nie!— mocno trzymały powrozy.
Czułem przez chwilę dreszcz śmiertelnéj zgrozy.
Ale wnet pamięć, i myśl, i pojęcie,
W jednym się mglistym zmięszały odmęcie.
Step, ziemia, niebo, i ja z niemi społem,
Zdały się szybkiém obracać się kołem;
Aż wzrok mój ciemna powlokła zasłona:
I w piersiach serca konwulsyjne drgania
Ustały nagle.— Człowiek co już kona,
Nie może mocniéj czuć chwili skonania,
Jak jam czuł wtedy.— Jak żeglarz w rozbiciu,
Na kruchéj desce, gdy huczaca fala
Niesie go, miota, głuszy i przywala,
W głąb szedłem zda się;— czułem żem był w życiu,
Lecz życie było jak sen gorączkowy,
Wątły, znikomy: a jednak się zdaje,
Że w nim przytłacza głaz ciężki, grobowy,
Co ni się ocknąć, ni spocząć nie daje.

Jeśli przy śmierci są takie męczarnie,
Nie dziw że przed nią natura się trwoży.
Przy śmierci nawet może jeszcze gorzéj,
Nim wieczność całkiem człowieka ogarnie.
Mniejsza! jam wtedy raz już oczy moje
Oswoił z śmiercią;— toć i znów oswoję.

XIV.

«Jak długo trwały te mdłości — nie zgadnę;
Myśl z ciałem były zarówno bezwładne.
Przytomność piérwsza wróciła.— Gdzież jestem?
Czuję chłód jakiś:— serce się porusza,
Krew uderzyła — ożywia się dusza:
Słuch jakimś dziwnym napełnion szelestem.
Otwieram oczy — oglądam się — ciemno!
Koń parska — słyszę — lecz czy koniec jazdy?
Nie czuję biegu;— spójrzę, aż pode mną
Woda, i w wodzie niebiosa i gwiazdy!
Zamknąłem — znowu otwieram powiekę:
To nie sen!— rumak mój płynie przez rzekę.
Wzdęta i bystra:— a rozlana fala,
Przed i za nami połyska się zdala;

Głąb wre i szumi:— a my śród jéj prądu
Do nieznanego sterujem się lądu.
Chłód świeżéj wody zbudził mię z omdlenia.
Koń silną piersią porze nurt strumienia,
Parska — a piana jak płachtami śniegu
Posrebrza falę;— dopływamy brzegu.
Lecz cóż port dla mnie za różnicę czyni?
Tamby śmierć w głębi, a tu śmierć w pustyni!
A gdzieby prędzéj, i jak lżéj umiérać:
Anim pomyślał, anim mógł wybierać.

XV.

«Zmokły, zziajany, z dymiącemi boki,
Trzęsąc się z zimna, koń na brzeg wysoki
Wśpiął się, wyskoczył;— przed nami równina,
Jak w nocy zajrzeć, zamglona i sina,
I w lewo, w prawo, w mdłém świetle miesiąca,
Zda się gdzieś w przestrzeń przedłużać bez końca.
My lecim, lecim:— czasem w mgle poziomej
Miga coś biało; czasem się coś czerni,
Jak drzew gromada;— byłyżby to domy?—

Nie dójrzeć pewnie nie da blask znikomy—
Lecz sąż to sady, czy zarośle cierni?
Bo nigdzie żadne światełko zdaleka,
Żaden głos zniskąd nie wróży człowieka.
Ognik się nawet nie zerwie z pod ziemi,
By choć urągać przed oczyma memi.
Blaskby mi jego nowéj dodał siły!
Bo choćby nawet łudził mię:— już dosyć
Byłoby dla mnie, gdybym mógł choć wnosić,
Że już tu przecie są ludzkie mogiły!

XVI.

«Lecim wściąż na przód;— lecz coraz i coraz
Słabieje konia moc nieokrócona.
Robiąc bokami i piersią, raz poraz
Utknie— i zda się upadnie i skona.
I znów się wzmaga.— Dziećię go w téj porze
Wstrzymaćby mogło;— lecz cóż mi pomoże?
Nie mam rąk wolnych, a choćby i były,
Może już na to nie miałbym dość siły.
Ostatek jednak wytężam— azali
Nie zerwę więzów;— niestety! daremnie!

Powrozy tylko wpijają się we mnie,
I ból się zdwaja;— koń daléj, i daléj,
Pędzi— lecz czuję, że chwieje się w pędzie,
Że musi upaść:— lecz cóż ze mną będzie?
A już od wschodu, u brzegu przestrzeni,
Piérwszy brzask świtu srebrzy się, rumieni,
Lecz jakże wschodzi powoli!
Jak tu noc długa, jak leniwe słońce!
Wzywam go, czekam, jak mego obrońcę,
Jak kresu mojéj niedoli!
I już już coraz jaśniéj i czerwieniéj
Wschód się zajmuje, i smugi promieni
Buchają na niebios sklepie;
I wnet krąg tarczy, napoły widomy,
Wyjrzał nad ziemię— i blask jéj poziomy
Piorunem strzelił po stepie.

XVII.

«Słońce pogodne— i tuman kłębami,
Zwija się, wznosi;— przed nami, za nami,
Stepy, pustynia, równina jak morze.
Końca nie dójrzeć:— lecz w całym przestworze,

Nigdzie człowieka ni ręki, ni śladu.
Powietrze nawet bez głosu i ruchu:
Nigdzie śpiew ptaka, nigdzie brzęk owadu,
Szmer nawet wiatru nie ozwie się w uchu.
Cisza i martwość!— Koń milę po mili,
Dysząc, że zda się pierś pęknie co chwili,
Pędzi, i resztą tchu robi bokami.
A wściąż jesteśmy — lub zdajem się sami.
W tém jedną razą, rozległ się po błoni
Głos jakiś cudzy:— czy to rżenie koni?
Czy wiatr w gałęziach widomej dąbrowy?
Nie, nie! to tentent — to tabun stepowy!
Widzę już, widzę, jak całe ich stado
Z lasu na pole wybiegło gromadą,
I w czwał, na przełaj, zabiega nam drogę.
Chciałbym zawołać — probuję — nie mogę.
Ziemia się wstrząsa pod echem ich biegu;
Pędzą jak jazda w bojowym szeregu.
Lecz gdzież są jeźdzcy?— wglądam się zdaleka:
Koni jest z tysiąc — żadnego człowieka!
Z grzywami na wiatr, podjąwszy ogony,
Chrapiąc nozdrzami, harcują w przegony.

Rzędy po rzędach, na stepów przestworzu,
Czernią się, huczą, jak fale na morzu,
I w całym pędzie mkną ku nam przez błonia.
Widok ich, zda się, wzmógł moc mego konia.
Pomknął się, zarżał, i jak martwe brzemię,
Zachwiał się — zarył — i runął o ziemię.
Z dymiącém nozdrzem, tocząc piany białe,
Leżał, i nogi wyciągał zmartwiałe.
Skończył swój zawód piérwszy i ostatni!
Kołem go zewsząd obiegł orszak bratni,
Patrzą się na mnie — zbliżają się, stają,
Parskną, odskoczą, i znowu wracają;
Znać że się dziwią i boją zarazem.
A w tém, jak gdyby za danym rozkazem,
Wszystkie za jednym — znać wodzem ich stada,
Czarnym, rośléjszym niż cała gromada,
Chrapiąc, parskając, kopnęły z kopyta.
W chmurach kurzawy, co z pod stóp ich wzbita,
Z hukiem stu gromów, tłum w stepy ucieka,
Jakby z instynktu przed twarzą człowieka.
Jam został jeden — z rozpaczą w méj duszy,
Na martwym koniu, co już się nie ruszy,

I chcąc się z niego odwiązać daremnie.
Chłód jego śmierci przenikał aż we mnie,
Razem ze straszną pewnością, że społem
Popiół mój z jego zmięsza się popiołem.

XVIII.

«I tak od rana do późnego mroku,
Leżałem pastwą mych myśli natłoku;
Żyjąc jak na to, by okiem gasnącém
Z ostatniém mojém pożegnać się słońcem,
I zajść z niém razem — tylko że na wieki!
Od wszelkiéj ludzkiéj pomocy daleki,
W saméj pewności straszliwego losu
Znalazłem siłę na zniesienie ciosu,
Przed którym serce i natura ludzi
Truchleją równie; — choć już ich nie łudzi
Świat, chociaż mdlejąc od pracy i znoju,
Nie chcą innego szczęścia — prócz pokoju,
Którego, wiedzą, że nié ma na świecie,
Że w grobie tylko znaleźé go: — a przecie,
Tak drżą przed grobem, i mijają kołem,
Jakby grób tylko był zdradzieckim dołem,

Co go się ustrzedz i uniknąć można,
Byle roztropność i baczność ostróżna.
I śmierć — choć nieraz zwana głosem jęku,
Nieraz szukana z krwawym mieczem w ręku,
Śmierć, gdy się zbliży — w jakąkolwiek porę—
Człowiek w niéj zawsze obaczy potworę.

XIX.

«A jednak dziwna! że nie raz piastuny
Szczęścia, przepychu, zbytku i fortuny,
Co z wiecznym śmiechem na czole i ustach,
Godują w świecie i toną w rozpustach,
Konają nie raz spokojniéj i śmieléj,
Od tych, co tutaj nic prócz łez nie mieli.
Bo człowiek w szczęściu, któremu niczego
Nie brakło nigdy, i który wszystkiego
Słodycz i gorycz poznał po kolei,
Cóż ma do żądzy, i co do nadziei,
Prócz chyba przyszłych, niezmiennych radości,
Gdy mu je wiara zwiastuje w wieczności?
A bez nadziei i żądzy, cóż znaczy
Życie na ziemi?— Nieszczęśnik inaczéj.

Wtrącony w przepaść, z wszystkiego obrany,
On zawsze jakiejś spodziewa się zmiany,
Ulgi, pociechy;— i choćby dlań w świecie
Śmierć była ulgą jedyną:— on przecie,
Widzi w niéj wroga, który mu w zawięzi
Chce owoc szczęścia strząść z rajskiéj gałęzi.—
Jutroby może był panem dostatku,
Otrząsł się z cierpień, podniósł się z upadku;
Jutroby piérwszém bydź mogło ogniwem,
W paśmie dni jego nowém i szczęśliwém,
Nagrodą długich i mąk i wytrwania;
Jutroby może dopiął panowania,
Władzy, potęgi; zawistnych prześcignął,
Starł nieprzyjacioł, przyjaciół podźwignął;
Od jutra może spodziewać się tyle:—
Maż mu to jutro świtać na mogile?

XX.

«Zachód już blizko:— jam leżał jak zrana,
Licząc minuty, aż śmierć pożądana

Przyjdzie ból skrócić i uśpić na wieki.
Przez gwałt ku niebu podniosłem powieki,
I na powietrzu, między mną a słońcem,
Ujrzałem kruka — jak skrzydłem świszczącém
Krążył, i krakał:— zdało się, że czeka,
By razem z koniem mógł żreć krew człowieka.
I coraz, coraz spuszczając się niżéj,
Coraz mię kołem oblatywał bliżéj.
W zmierzchu, widziałem, jak wisiał nade mną,
Świszcząc skrzydłami;— a gdy już wpół-ciemno
Było na stepie — raz tak blizko z góry
Smignął koło mnie — że szorstkiemi pióry
Rozwiał me włosy i omusnął skronie.
Byłbym go schwytał, gdyby wolne dłonie.
Lecz samo drgnienie przestrachu i zgrozy,
I skrzyp, co przez nie wydały powrozy,
I głos — jeżeli zwać głosem chrypanie,
Com ledwo z piersi wydobyć był w stanie—
Spłoszyły wreście krwiożercę.
Co daléj, nie wiém;— tylko jeszcze jedno
Pomnę, jak przez sen:— jakąś gwiazdkę błędną,
Jakieś światełko w iskierce;

Co gdzieś daleko, przed mglistém spójrzeniem,
Migało bladym, niepewnym promieniem,
I przeświecało aż w serce.
I to, co w sobie w téj chwili doznałem,
Czując niknącą moc woli nad ciałem:
Jakąś mdłość, senność, lodowate mrowie,
Jakiś ból w sercu, jakieś iskry w głowie;
Coś nakształt trwogi dziecięcéj:
Coś nakształt myśli, że to jest konanie;
I znów ból, zimno, konwulsyjne drganie,
Westchnienie — i już nic więcéj.

XXI.

«Budzę się — Cóż to? czy jeszcze marzenie?
Czy wzrok mój ludzkie spotyka wejrzenie?
W kołoż mnie ściany wiejskiego mieszkania?
Toż-li węzgłowie miękkiego posłania?
Jestże śmiertelnym, ten wzrok tak promienny,
Milszy mojemu od jasności dziennéj,
Co tak z czułością wpatruje się we mnie?—
Drżę, by się jeszcze nie łudzić daremnie.

Wytężam oczy, poglądam ciekawie:—
Nie! to nie mara!— nie! widzę na jawie.
Młoda dziewica, kształtna i wysoka,
Siedzi opodal nie spuszczając oka.
I gdy ujrzała żem odzyskał zmysły,
Czarne jéj oczy jak ogniem zabłysły,
I usta nagłym zadrgały uśmiechem.
Powstawszy ku mnie przybiegła z pośpiechem.
I widząc z ruchu ust moich, że chciałem
Przemówić do niéj, lecz głosu nie miałem:
Palcem na ustach, i wstrząsając głową,
Dała znak milczeć: bym niewczesną mową
Strzegł się nadużyć wracającéj siły,
Ażby się same powoli wzmocniły.
I rękę moję ująwszy swą dłonią,
Drugą węzgłowie podniosła pod skronią,
I ledwo stopą dotykając ziemi,
Poszła na palcach, krokami prędkiemi,
I stojąc w progu, przeze drzwi przemknione
Szeptała ściche;— a słowa tłumione,
Rajskiemi dźwięki grały w mojém uchu.
Patrzałem na nią:— a ona bez ruchu

Postawszy chwilę:— gdy widać uśpieni
Ci, których zwała;— wnet sama do sieni
Wyszła — lecz piérwéj, wyraźniéj niż słowy,
Twarzą i ręką dała mi znak nowy,
Bym był spokojny i czekał.— Gdy znikła,
Taka mię żałość objęła niezwykła,
Taka tęsknota:— że mi się zdawało,
Że życie za nią przez pół uleciało.

XXII.

«Wróciła z matką i ojcem Kozakiem.—
Cóż mówić więcéj?— jako mię przed nocą,
Znaleźli w stepie z nieżywym rumakiem,
I z chrześciańską śpiesząc się pomocą,
W dom swój przenieśli rękami własnemi,
Mnie — com miał potém hetmanić nad niemi!
Tak ów okrutnik, co w swéj zemście ślepéj,
Chcąc zwiększyć boleść i męczarnie skonu,
Myślał, że na śmierć posłał mię na stepy,
Drogę mi tylko otworzył do tronu!—
Nikt z ludzi nie wié co mu los przeznacza,
Lecz też niech żaden darmo nie rozpacza;

Co dziś złem zda się, na dobre wyjść może.
I byle prędzéj ranne ujrzeć zorze,
I konie nasze pokrzepić noclegiem:
W czas staniem jeszcze nad Dniestrowym brzegiem.
I wyznać muszę, że nigdy śród spieki
Jeleń się chciwiéj nie kwapił do rzeki,
Jak ja, by za nią ujść wrogów przemocy.—
Lecz dość już bajać.— Bracia! dobréj nocy!"—
—Skończył, i dłonią ku słuchaczom skinął,
Pogłaskał konia, burką się obwinął,
I na posłanie, dla niego nie nowe,
Legł, o pień dębu opierając głowę,
I zasnął wkrótce jak śród Ukrainy.—
Lecz gdy się może dziwicie, dla czego
Król nic mu nie rzekł o powieści jego?
Przyczyna prosta!— Król spał od godziny

KONIEC.

PERI I RAJ

Powieść Wschodnia

TOMASZA MOORA.

KLEMENTYNIE, z WYGANOWSKICH,

HRABINEJ

GRABOWSKIEJ

W DOWÓD USZANOWANIA I PRZYJAŹNI

POŚWIĘCAM.

A. E. O.

5**

PERI I RAJ.

I.

U progu Niebios gwiaździstych podwoi,
Wygnanka Peri, zasmucona stoi (*).
I kiedy słyszy, jak Zdroje Żywota
Rajskiemi dźwięki harmonijnie brzęczą:

*) Peri, w mitologii wschodniéj, są to duchy dobre, stopniem tylko niższe od Aniołów, chociaż równéj piękności. Niegdyś wygnane z Raju, mieszkają na powietrzu, w wodzie, i w najpiękniejszych okolicach na ziemi: w zaczarowanych napowietrznych ogrodach, lub w kryształowych na dnie morskiém pałacach. Żyją wonią kwiatów i rosą.

I kiedy widzi, jak ich jasność złota
Z bram na jéj skrzydła promieni się tęczą:
Płacze dumając, że jéj ród zuchwały
Stracił dziedzictwo wiekuistéj chwały.

»Szczęśliwi Duchowie! co w wiecznych swobodach,
»Po gwiazdach niebieskich, po rajskich ogrodach,
»Bujają skrzydłami jasnemi!
»I ja mam ogrody na ziemi i w morzu,
»Mam sady wiszące w powietrza przestworzu,
»Lecz możnaż je równać z rajskiemi?

»Przeczysta jest woda jeziora Kaszmiru,
»I rzeki mu niosą dań złota nie żwiru,
»I piękny cień wysp Sing-su-haju *).
»Tam żyję ich wonią, tam w skwarność upału,
»Oddycham w ich głębiach, w pałacach z kryształu,
»Lecz cóż to jest wszystko przy Raju?

*) W Tybecie.

» Leć z gwiazdy do gwiazdy, od słońca do słońca,
» W otchłani beze dna, w przestrzeni bez końca,
» Gdzie krążą na wiecznych zawiesiech;
» Zbierz wszystkie ich wszystkich rozkosze, radości,
» I pomnóż przez wieki, przez lata wieczności,
» Cóż one przy chwilce w Niebiesiech?"

Tak gdy nóciła, płacząc tém boleśniéj,
Aniół, stróż Raju, dosłyszał jéj pieśni;
I łza litości, w promienistém oku,
Błysła, jak kropla rajskiego potoku
W kielichu kwiatów, co barwą błękitną,
Mówią Bramini— w Raju tylko kwitną *).
» Duchu, cierpiący nie za swoje grzechy,
Rzekł—» nie rozpaczaj, przyjm promień pociechy!
» Jest jeszcze jedna nadzieja dla ciebie.
» W xiędze wyroków napisano stoi:
» *Peri, co złoży u Niebios podwoi*
» *Dar godny Nieba, może zostać w Niebie!*"

*) Błękitny kwiat *Champaka*, w języku Braminów, podług ich podań kwitnie tylko w Raju.

»Leć więc i szukaj!— Nam, synom zbawienia,
»Miło otwierać bramę przebaczenia."—

Jak kometa ogniem tchnąca,
W płomienisty uścisk słońca:
Jak gwiaździste owe groty,
Co gdy sprośny duch ciemnoty
Chce ku Niebu wkraść się zbliska,
Archanielska dłoń nań ciska *):
Peri na dół spada z góry.
I promienna zórz szkarłatem,
Co wschód barwią tłem purpury,
Błyszczącemi jak śnieg pióry,
Ulatuje po nad światem.

Lecz gdzież się zwróci, by iść szukać daru
Godnego Niebios?— «O! wiém ja — zawoła—

*) Muzułmanie mniemają, iż spadające gwiazdy, są to ogniste pociski, któremi Aniołowie odpędzają złych duchów, gdy się z nich który z przepaści ku Niebu przybliżyć ośmieli.

» Wiém skarby w lochach ruin Czilminaru *),
» Których znieść blasku źrenica nie zdoła.
» Wiém gdzie w bezdennych głębokościach fali,
» Są góry pereł i lasy korali;
» Gdzie w straży Gnomów, pod ziemią ukryty,
» Króla Dżamszyda puhar gwiazdolity,
» Co zdrojem życia nad brzegi się pieni **);—
» Ale dla Niebios ofiara to błaha!
» Cóż jest blask złota i drogich kamieni,
» Przy gwiazdach u stóp stolicy Allaha?
» A krople życia!—o! nicość nicości,
» Przy oceanie niebieskiéj wieczności!"—

I gdy tak duma, a skrzydła jéj płyną,
Po nad Indyjską ulata krainą.

---

*) Tak Persowie nazywają ruiny miasta Persepolis. Podług ich podań, był tam pałac zbudowany przez Geniuszów, dla ukrycia w podziemnych jego lochach nadzwyczajnych skarbów, które się tam dotąd znajdują.

**) Cudowny ten puhar, napełniony „żywiącą i gojącą wodą," ma się także znajdować w ruinach Persepolis.

Gdzie cała ziemia, jest kwiat i zieloność,
Całe powietrze, jest jasność i wonność;
Gdzie morze razem, jak szkło kryształowe,
Odbija błękit i dno koralowe;
Gdzie nakształt dziewic ubranych na gody,
Rzeki lśnią złotem przez rąbek swéj wody;
Gdzie w górach, ogniem słonecznym dojęty,
Głaz się w gwiaździste topi dyamenty;
A wonne lasy, wiecznym tchnące majem,
Sameby mogły bydź Perij rajem;
Tam ona w myślach posępnych ulata.
Żądza ku niebu, i niedola świata,
Tęskność i litość budzą w niéj zarazem.
Bo kraj ten dzisiaj nie raju obrazem!
Wojna go niszczy:—krwi ludzkiéj rozcieki,
Zafarbowały strumienie i rzeki,
Dym pogorzelisk zaćmił blask pogody.
O kraju słońca! jakiż wróg zawzięty,
Kruszy twe Bóstwa, obala Pagody *),
Pomiata twemi ludy i xiążęty?

*) Świątynie Indyjskie.

To on, wódz z Gazny!– *) nie syt krwi rozlewu,
Gdzie szedł, w jéj morzu pływa kraj zniszczony;
Gdzie cisnął okiem, w ogniach jego gniewu
Stopniały złote mocarzów korony.
Tyran, a niebios prorokiem się mieni,
I jako szatan urąga z niedoli!
Psiarnie swe stroi w blask drogich kamieni,
Zerwanych z piersi cór xiążąt i króli.
Morduje dzieci, dziewice znieważa,
Kapłany rzeże u stopni ołtarza,
I gruzem świątyń, runących w pożodze,
Zdroje wód świętych zatrzymuje w drodze!

*) Mahmud, Sułtan Gazny, albo Ghisni, który spustoszył i podbił Indye na początku XI. wieku. Psiarnia jego, którą prowadził za sobą, składała się z 400 ogarów, które, na uragowisko, kazał ubierać w ozdoby zdarte z bożyszcz Indyjskich. Każdy z tych psów miał obrożę złotą, sadzoną dyamentami, i kapę do okrycia, naszywaną perłami.

Peri spogląda — i tuż niedaleko
Od pola bitwy, po nad świętą rzeką,
Widzi młodzieńca: — sam, nieustraszony,
Stoi w ćmie wrogów; — w ręku miecz skruszony,
I tylko strzała ostatnia w kołczanie.
»Żyj, woła Mahmud — „żyj dzielny młodzianie,
»Żyj, i przyjm moję przyjaźń i opiekę!"
Milcząc młodzieniec podniósł nań powiekę,
Milcząc ukazał na skrwawioną rzekę,
I za odpowiedź, ostatnią z kołczana,
Strzałę z cięciwy puścił na tyrana.
Niestety! próżno! — grot cel swój ominął —
Łupieżca żyje — a bohatér zginął!

Peri dostrzegła, gdzie upadł w drzew cieniu;
I gdy wróg daléj poniósł broń niszczącą,
Zbiegła na rannym jutrzenki promieniu,
I od jéj blasku jak rubin błyszczącą,
Ostatnią kroplę krwi zebrała z rany,
Krwi za ojczyznę i wiarę przelanéj!

„O! gdzież mi— zawoła— gdzie inszéj ofiary,
„Czyż świętszéj gdzie szukać potrzeba?
„Krew mężna, przelana dla kraju i wiary,
„Lub będzie najmilszą dla nieba,
„Lub nié ma mym mękom ni granic, ni końca!"
To rzekła, i cała radością świecąca,
Wbiegła na niebo— po promieniach słońca.

„Droga"— rzekł Anioł, w dłoń swą promienistą
Biorąc dar Peri:—„droga krew męczeńska,
„Krew poświęcona za ziemię ojczystą!
„Ale, niestety! patrz! brama Edeńska
„Trwa nieruchoma;— droższych darów trzeba,
„Niż ta krew nawet, by ci wejść do Nieba!"

II.

Tak gdy ją pierwsza nadzieja zawiodła,
Peri znów na dół pośpiesznemi pióry
Spada, i między Xiężycowe Góry *),
W ziemi Afryckiéj, buja po nad źródła
Rzeki Nilowéj: — któréj ród tajemny
Kryje się w puszczy i przepaści ciemnéj,
Gdzie tylko możne Gieniusze Wody,
Weselne swoje wiążąc korowody,
Cieszą się, patrząc modremi oczyma,
Na wzrost rzek ziemskich króla i olbrzyma.
Ztąd po nad bujne Egiptu oazy,
Bezdenne groty i podniebne głazy **),

*) *Montes Lunae*, w starożytności. U stóp ich mają bydź źródła Nilu, zwanego u Abissyńczyków *Abby* albo *Alawy*, co znaczy: olbrzym.

**) O niezliczonych pomnikach i grotach, w górach wyższego Egiptu, pokrytych całkiem hieroglificznemi napisami, mówi obszernie, między innymi podróżnikami, P. Perry, w dziele swojém: *View of the Levant.*

Peri wzdłuż Nilu po powietrzu płynie.
I to w rozkosznéj Rozetty dolinie *),
Słucha turkawek gruchających chorem;
To po nad modrém Merisu jeziorem **),
Zwieszona, z góry przygląda się rada,
Jak białoskrzydłych pelikanów stada,
W miesięcznem świetle i mgle przezroczystéj,
Lśnią się jak gwiazdy na fali gwiaździstéj.
Czarowny widok! — cudniejszéj krainy,
Śmiertelna nigdzie nie ujrzy źrenica.
Lecz któżby widząc te żyzne równiny,
Których plon dziwi, a piękność zachwyca;
Te hoże palmy, rok cały wiosenne,
Co gnąc z owocem swe kształty powabne,
Chwieją się zlekka, jak dziewice senne,
Gdy idą spocząć na łoża jedwabne ***):

---

*) »Gaje w dolinach Rozetty, napełnione są turkawkami"— *Sonnini.*

**) Savary wspomina o pelikanach na jeziorze Moeris.

***) »Wspaniała palma, której szczyt schyla się zlekka, jak czoło pięknéj dziewicy, kiedy ją sen morzyć zaczyna."— *Dafard el Hadad.*

Te róże, z barwą i krasą jutrzenki,
Co jak Sułtanki w tajnikach haremu,
Stroją się nocą w coraz nowe wdzięki,
Na podziw słońcu, kochankowi swemu;
Te gruzy świątyń, albo miast warownych,
Co się bydź zdają szczątkiem snów czarownych:
Śród których głuchéj, uroczystéj ciszy,
Przelot puszczyka słuch chyba dosłyszy:
I w których mroku zbłąkana źrenica,
Gdzie niegdzie chyba, przy świetle xiężyca,
Ujrzy, na szczycie skruszonéj kolumny,
Ptaka-Sułtankę—jak w postawie dumnéj,
Siedzi bez ruchu, i chociaż w omroce,
Barw swoich tęczą wspaniale migoce; *)—
Ktożby mógł, widząc te rajskie obrazy,
Myśleć, że nawet tu Szatan Zarazy,

*) Piękny ten ptak, z najpiękniejszym błękitem na skrzydłach, z purpurowemi nogami i dziobem, był ulubioną ozdobą Greckich i Rzymskich pałaców i świątyń; a z powodu wspanialéj postawy i świetności kolorów, na Wschodzie imie Sułtanki otrzymał."—*Sonnini.*

Rozwiał swém skrzydłem taki powiew moru,
Że życie ludzi i wszelkiego tworu,
Nikło w nim nagle, jak pod strzałem gromu,
Jak kwiat i zioła pod tchnieniem Simomu*).

Słońce dziś zaszło przed tysiącem oczu,
Co wtedy jasne, jak zachód na falach,
Teraz już w mękach i śmierci omroczu,
Nim gwiazdy błysły na niebios przezroczu,
Gasną na wieki w morowych szpitalach!
Ach! a też w polach zwalone na kupy,
Te po ulicach i po drogach trupy!
Od których nawet, ujrzawszy zdaleka,
Sęp wygłodniały ze wstrętem ucieka;
I tylko hyen żarłocznych gromada,
Przybiega z pustyń, do miast się zakrada,
I na żer sprośny, przez puste ulice,
Śmiałemi kroki dybie nocną dobą:

*) Simom albo Simum, wiatr palący od strony pustyń.

I biada mrącym! gdy w mroku nad sobą,
Ujrzą ich duże, błyszczące źrenice.

„O! biedny ludzki świecie i rodzaju!
„Ciężko spadł na was grzech piérwszego męża.
„Cóż, że wam kwitnie kilka kwiatów raju,
„Kiedy na każdym jest trucizna węża?"—
Tak rzekła Peri, i łzami rzewnemi
Płakała, mówiąc;—a łzy jéj, jak rosy,
Zdrowiącą świeżość rozniosły po ziemi.
Bo jest cudowna moc we łzach, któremi
Duch taki płacze nad ludzkiemi losy!

W téj chwili właśnie, pod zielonem drzewem
Złotych pomarańcz, gdzie owoc i kwiecie,
Pochwiane jednym, przeotnym powiewem,
Igrały razem, jak ze starcem dziecię:
Po nad jeziorem, którego głębinę
Tchnęły oddechem świeżości wilgotnéj:

Słyszy jęk cichy;—ktoś widać w pustynię
Skrył się przed ludźmi, by umrzeć samotny!

Młodzian! za którym, w każdym niegdyś kroku,
Szły czułe serca i tęskne westchnienia,
Kona—i nié ma, ktoby mu przy boku
Stanął na wsparcie, na ulgę cierpienia!
Coby dla śpiekłych ust jego ochłody,
Podał mu choćby jedną kroplę wody,
Co o krok przed nim chęć w nim tylko drażni;
Coby choć jednym wyrazem przyjaźni,
Współdzieląc boleść i łagodząc trwogę,
Pokrzepił ducha na wieczności drogę!
Nikogo nié ma!—i jedna pociecha,
Co mu się jeszcze w téj chwili uśmiecha,
Jest—że ta, którą jedynie, statecznie,
Kochał kochany, od lat swych dziecięcych,
Że ta w téj chwili spoczywa bezpiecznie,
Spoczywa w ojca pałacach xiążęcych:
Gdzie wód przeczystych bijące fontanny,
I z drzew Indyjskich ogień nieustanny,

Tchną w koło taką świeżością i wonią,
Że rzekłbyś skrzydła Aniołów nad skronią
Wiejąc, jéj życie od zarazy chronią.

Ale patrz! któż to z pośpiechem i trwogą
Dąży od miasta? Anioł czy ziemianka?
Przebóg! to ona!— nieomylną drogą
Serce ją wiedzie za śladem kochanka.
I już go widzi—jak w świetle xiężyca
Leży, półciałem wsparty o pień drzewa;
I już jest przy nim—i lice do lica
Tuli, i łzami twarz jego oblewa;
I rozpuszczone pasma swych warkoczy
Macza w jeziorze:—i dzierżąc na łonie,
Płonące niemi obwiązuje skronie,
Całując usta, patrząc w jego oczy!
A on!—niestety! mógłże on to wróżyć,
Że przyjdzie chwila, kiedy te uściski,
Świętsze mu stokroć od pieszczot Huryski,
Będą go tylko przerażać i trwożyć:
Jakby splot węża w koło jego szyi,
Jakby w tych ustach były jady żmii?

W ustach, co teraz rozpaczą zuchwale,
Same się jego upajają tchnieniem:
A niegdyś wstydem spłonęłyby całe,
Gdyby się cichém zdradziły westchnieniem!

„Luby mój, drogi! przestań mię odpychać!
„Patrz, czyż nie jestem narzeczoną twoją?
„Pozwól mi, pozwól twém życiem oddychać,
„Spełnić przysięgę i powinność moją:
„Żyć razem z tobą, lub umrzeć dla ciebie!
„Ach! tyś mię nie znał, jeśli mogłeś wierzyć,
„Że cię w ostatniéj opuszczę potrzebie,
„Lub że cię zechcę — albo zdołam przeżyć!
„Nie, nie, mój luby! kiedy drzewo ginie,
„Żyjąca z niego zielona jemioła
„Ginąć też musi. — Nie odwracaj czoła,
„Przyjm uścisk piérwszy, w ostatniéj godzinie;
„Złącz usta z memi — i dzielmy oboje,
„Ty moje życie, ja skonanie twoje!"
Rzekła, i bledną — jako lampa właśnie,
Gdy w głębi lochów od wyziewów gaśnie —

Chwieje się, padła;— blask oczu i krasa,
W powiewie moru mroczy się, zagasa;
I duch obojga, w jedno zlany tchnienie,
Uleciał razem nad świat i cierpienie.

„O! śpijcie!"— Peri rzekła z łzą w źrenicy,
Biorąc ostatnie westchnienie dziewicy,
Co z ust w ostatnim wzleciało oddechu.
„Śpijcie w niebieskiéj harmonii echu,
„W rajskich marzeniach i tchu rajskiéj woni,
„Milszéj niż owa, co na ziemskiéj błoni
„Tchnie tylko wtedy, gdy ów ptak, syn słońca,
„Syty samotném życiem lat tysiąca,
„W słoneczych ogniach zaklętego stosu,
„Niknie w potokach wonności i głosu *)!

Rzekła, i tchnieniem ambrozyjskiéj woni,
Z ust, napełniła całą okolicę;

*) Podług podań na Wschodzie, ptak Fenix, po przeżyciu tysiąca lat, układa sam sobie stos z najwonniejszych gatunków drzewa, i pali się na nim ogniem słonecznym, wpośród najrozkoszniejszéj woni i harmonii głosu, którą sam przed skonaniem wydaje.

I wstrząsłszy wieniec gwiaździsty na skroni,
Taką rozlała jasność:— że ich lice
Były jak Świętych, co po trudach ziemi
Śpią snem wiecznego pokoju;— a ona,
Na jasnych skrzydłach w równi zawieszona,
Jak ich Stróż-Anioł czuwała nad niemi.

Ale już piérwsze jutrzenki promienie
Rumienią chmury — i Peri w radości,
Wraca ku Niebu, unosząc westchnienie
Czystéj i samoofiarnéj miłości.
Serce drga nagłym rozkoszy oddechem,
Myśl w morzu szczęścia i nadziei tonie,
Widząc jak Anioł, stróż Raju, z uśmiechem,
Dar przyniesiony przyjmował w swe dłonie.
I już przez bramę, natężoném uchem,
Słyszy dźwięk liści kryształnego drzewa,
Wstrząsanych wiecznie, jakby żywym duchem,
Tchem, co od tronu Allaha powiewa;
I już nad brzegiem zdrojów źwierciadlanych,
Widzi błyszczące gwiaździste puhary,

Zkąd naprzód dusze szczęśliwych wybranych,
Nieśmiertelności czerpają nektary.

Ale niestety! nadzieja zwodnicza!
Znów się, jak przedtém, brama tajemnicza
Zamknęła sama;— i z smutkiem w źrenicy,
Anioł rzekł: «Święta jest miłość dziewicy!
«Dzieje jéj uczuć, ofiary, i zgonu,
«W gwiaździstych słowach, u Allaha tronu,
«Będą uczyły same duchy nieba,
«Jak się poświęcać i miłować trzeba.
«Ale patrz! Niebios zamknięte podwoje!
«Droższym idź darem okup wnijście twoje.
«Droższym, niż ziemskiéj miłości westchnienie,
«Lub dla miłości śmierć i poświęcenie.”—

III.

Z różanych sadów, na zielone pola,
Wieczorny wietrzyk tchnie woń Suristanu *),
I słońce, jako wielka aureola,
Wieńczy, zachodząc, świętą skroń Libanu;
Co z wierzchu śnieżną obleczony szatą,
Sędziwém czołem między gwiazdy świeci,
A u stóp Wiosna i zielone Lato,
Wiecznie ku niemu śmieją się jak dzieci.

O! ktoby kraj ten mógł oglądać z góry,
Ten blask, to życie, tę piękność natury,
Jakżeby cudnym uderzon obrazem,
Dziwił się, wielbił, i zachwycał razem!
Te gaje cedrów, te równie bez końca,
Te rzeki ogniem iskrzące od słońca;
Te łąk nadbrzeżnych kobierce bogate,
I te nad niemi, jak kwiaty skrzydlate,

*) Suristan, *kraj róż*. Tak się nazywa Syrya, od niezmiernéj ilości tego rodzaju kwiatów, zwanych w języku krajowców: *Suri*. *Richardson*.

Roje motyli, i tłumy jaszczurek *),
Co każda lśniąca jak brylantów sznurek,
Jedna za drugą, po dawnych zwaliskach,
Wściąż w gzyzakowych migają się błyskach;
Te, na tle jasnych błękitów u góry,
Stada gołębi, z migotnemi pióry,
W jaskrawym blasku zachodniego słońca,
Rażące oczy tęczą barw tysiąca,
Lub z drzew zieleni, swych skrzydeł trzepotem,
Przelyskujące purpurą i złotem! **)
A tenże ptasząt gwar, szczebiot wesoły,
Złączony z brzękiem Palestyńskiéj pszczoły,

---

*) «Widzisz tam, (w Syryi) nieprzeliczone mnóstwo osobliwszego gatunku motyli, których piękność kształtu i barwy, zjednała im nazwisko: «Panien.» *Sonnini.* «Liczba błyszczących jaszczurek, którą widziałem na ruinach Świątyni Słońca w Balbeku, dochodziła do wielu tysięcy; ziemia, gruzy i stojące jeszcze ściany ruin, były niemi prawie okryte.» *Bruce.*

**) «Gołębie Syryjskie, latające ogromnemi stadami, odznaczają się osobliwszym blaskiem różnokolorowych piór swoich.» *Bruce.*

Co lśniąc jak gwiazda, ssie kwiatów nektary;
I wdzięczne echo pastuszéj fujary, *)
I dzwonki trzody rozpierzchłéj po łanie,
I godne Raju, twe brzegi Jordanie!
I szmer ku tobie biegących strumyków,
I twoje gaje, tak pełne słowików! **)

Peri spogląda — ale jak jéj oczy,
Łza smutku wszystko przed oczyma mroczy.
Patrzy ku słońcu, jak koroną jasną
Lśni nad świątynią — niegdyś swoją własną, ***)
Któréj skruszone, olbrzymie filary,
Jeszcze po polach ścielą cień daleki,
Rzekłbyś kompasy, co Czarodziéj stary,
Czas, wbił, by po nich liczyć jego wieki.

*) Syrinx, albo piszczałka Pana, jest dotąd pasterskim instrumentem w Syryi. *Russel.*

**) Brzegi Jordanu po obu stronach okryte są małemi, pięknemi gaikami, w których kryje się tysiącami słowików. *Thedenot.*

***) Świątynia Słońca w Balbeku.

Ale któż zgadnie czy w tych lochach ciemnych,
Zkąd brzmiała niegdyś wyrocznia natchniona,
Nie znajdzie jakich zabytków tajemnych,
Xiąg, talizmanów z krain ponad-ziemnych,
Z wielkiém imieniem Króla Salomona:
By z nich wziąć światła promień pożądany,
Gdzie i jakiego daru szukać trzeba,
Ażeby przezeń, duch grzechem skalany,
Mógł się oczyścić i dostąpić nieba?

W tych myślach Peri zmierza ku ruinie,
Nim słońce jeszcze skryło się za wzgórze;
I na rozkosznéj Balbeku dolinie,
Pomiędzy polne i rumiane róże,
Widzi rumiane i dzikie, jak one,
Małe pachołę:— zabawą znużone
Leży na kwiatach, i patrząc w około,
Śmiejąc się, nóci piosenkę wesołą.
I w tejże chwili, na otwartém błoniu,
Postrzega jeźdźca:— na zziajanym koniu,
Pędzi ku brzegom blizkiego strumienia.
Przypadł — i szybko zeskoczył z strzemienia,

I padł na ziemię, i pił;— aż zdumiony,
Ujrzawszy dziécię, ogniste źrenice
Obrócił na nie.— Chłopiec niestrwożony
Patrzał nań wzajem;— choć to groźne lice,
Te dzikie oczy nasępione srogo,
Najodważniejszych przejęłyby trwogą!
Z głębi ich dusza patrzała ponura,
Z mroku i ognia, jak piorunna chmura,
W któréj wzrok Peri mógł czytać dowodnie,
Jakby wyryte najczarniejsze zbrodnie:
Mord, zemstę, pychę, i Kaima zawiść,
I wzgardę nieba, i ludzi nienawiść,
I urąganie z prawdy i uczucia,
I dzikość siły, i otchłań zepsucia.
Wszystko wyraźne i czarne, jak one
Głoski, któremi Archanielskie pióro,
Wszystkie na ziemi grzechy popełnione
Wpisuje w xięgę potępienia, którą,
Na strasznym sądzie grzesznikom ukaże,
Nim je łza skruchy, albo Litość zmaże.

Ale w téj chwili, ów człowiek rozboju —
Jakby ten obraz ciszy i pokoju,
Co świecił przed nim w jasności zachodniéj,
Wszedł w duszę jego:— w téj chwili łagodniéj,
Weselej, nawet z czułości wyrazem,
Patrzał na dziécię; i za każdym razem,
Spotkał wzrok jego patrzący nań śmiało.
Tak blask pochodni, płonącéj noc całą
Przy jakim sprośnym obrzędzie, nad ranem,
Styka się z światłem jutrzenki rumianém.

Lecz patrz! już słońce, z za gór jeszcze grzbietów
Błysnąwszy, zgasło:— modlitwy godzina!
I w tejże chwili, z okolnych meczetów,
Rozległ się w dali okrzyk Muezzina.
Porwał się chłopiec, i w kornéj postawie,
Padł na kolana, na wonnéj murawie,
I wznosząc w górę i oczy i ręce,
Odmawiał ciche modlitwy dziecięce.
Rzekłbyś, że małe anielskie pachołę,
Upadło z Nieba, i na tym padole

Tęskniąc bez skrzydeł, w proszącéj postaci,
Wyciąga ręce do starszych swych braci.
O! był to widok!— ta pora, to dziécię,
Ten blask zachodu na niebios błękicie!
Widząc go Eblis — samby w sercu swojém
Czuł żal za Rajem, i serca pokojem!

I on go uczuł!— On, człowiek dzikości,
I krwi, i pychy!— w obec niewinności
Zadrżał sam w sobie; i myślą odmienną,
Sięgnął w swą przeszłość, jak w otchłań bezdenną:
Gdzie żadna gwiazda, żaden promień z góry,
Nie świecił przed nią; gdzie żadnéj podpory
Nie znalazł dla niéj;— aż sam z przerażeniem
Cofnął się przed nią;— i z ciężkiém westchnieniem:
«Był czas— rzekł w sobie— był czas, lube dziécie!
»Gdym i ja także, jak ty na tym świecie,
«Igrał, i kochał, i wierzył— i nie raz,
«Jak ty w téj chwili modlił się;— a teraz!"—

Opuścił głowę:— obraz lat dziecinnych,
Uczuć, nadziei i zabaw niewinnych,
I dawna czystość, i obecny zakał,
Stanęły w myśli:— i on płakał, płakał!

Błogosławione łzy żalu za grzechy!
Błogosławieni którzy płaczą niemi!
W nich jest jedyne uczucie pociechy,
Jaką występek czuć może na ziemi.
«Jest — rzekła Peri — tajemnicza rosa,
Co raz w rok tylko, litośne Niebiosa
Spuszczają w skwary na Egiptu kraje,
A co gdy spadnie, zaraza ustaje *).
Ach! czyliż nie tém dla duszy człowieczéj,
Są łzy szczérego żalu i pokuty?
Niech ją owionie duch złego zatruty,
Niech ją rozranią sumienia wyrzuty,
Jedna łza taka — a wszystko uleczy!"

(*) *Nucta*, albo Cudowna Kropla, padająca w Egipcie w sam dzień Ś. Jana, w Czerwcu, ma mieć jakoby własność zatrzymania morowéj zarazy.

I patrz! już zbójca przy boku dziecięcia,
Padł na kolana; rozpostarł objęcia,
Wzniósł je ku niebu — co równie łagodnie
Oświeca obok niewinność i zbrodnię —
I hymn radości brzmi między niebiany,
Witając powrót duszy obłąkanéj!

Mrok już zaciągał od wschodu — a oni,
Modląc się jeszcze, klęczęli na błoni;
Kiedy wtém nagle, jak struga szeroka,
Jasność niezwykła zabłysła z wysoka,
I padła prosto na zbójcy oblicze,
Zgięte ku ziemi; i na tajemnicze
Łzy, co spadając kroplami bujnemi,
U kolan jego błyszczały na ziemi.
Jasność tę zdala śmiertelnikby może
Wziął za meteor lub polarne zorze;
Lecz Peri łatwo odgadła wesoła,
Że to był uśmiech, spójrzenie Anioła,
Znak wskazujący na łzy pokutnika,
Że w nich jest siła co Niebo odmyka!

«O! szczęście bez miary! o! radość bez końca!
Skończone me życie tułacze!
Żegnajcie mi blaski xiężyca i słońca,
Ja światłość Allaha zobaczę!

«Żegnajcie mi ziemskie ogrody i kwiaty,
Nietrwałe jak ziemskie radości;
Żegnajcie bez żalu!— ja lecę w te światy,
Gdzie radość jest tchnieniem wieczności.

«Żegnajcie mi, ludzie! obyście wy chcieli
Raz szczérze zatęsknić do nieba!
O! jakby was chętnie życzliwi Anieli
Uczyli, jak szukać go trzeba!

«Żegnajcie, żegnajcie! pokutą i łzami
Łagodźcie serc waszych rozpacze;
Ja lecę, gdzie chyba z litości nad wami,
Przed tronem Allaha zapłaczę."

KONIEC.

BALLADY
I
BAŚNI.

LENORA.

Ballada
z Bürgera.

Z ciężkich snów, o bladym ranku,
Lenora rwie się i płacze:
«O Zbigniewie! o kochanku!
Kiedyż cię, kiedy zobaczę?"—
On z potęgą Króla Jana,
Bronił Wiedeń od Sułtana;
Ona w ciągłéj boleści,
Bo ni listu, ni wieści.

Długo naszych miecz zwycięzki,
Strach w pohańczych tłumach szerzył,

Aż częstemi zlękły klęski,
Bisurmanin mir uderzył.
Każdy rycerz z brzękiem, dźwiękiem,
Z hukiem kotłów, broni szczękiem,
W laurach, z bitew pogromu,
Wracał spocząć do domu.

I na drogi, na rozłogi,
Z wiosek, z miasta, z okolice,
Lud naprzeciw wybiegł mnogi,
Dzieci, starce i dziewice.
Tamta lubego mołojca,
Ta ściska męża, ta ojca;
Lenora tylko jedna,
Niepowitana biedna.

Bieży szukać wpośród szyków:
Lecz cię nié ma, o Źbigniewie!
Bieży pytać wojowników:
«Gdzie mój Źbigniew?"— żaden nie wie.
Aż gdy przeszło wojsko całe,
Ona tłukąc piersi białe,

Łzami zalana, zbladła,
Z żalu na ziemię padła.

Widząc to matka przybieży:
«Ach! córko! co ci się dzieje?"—
Żałośnie w dłonie uderzy,
I oko łzami zaleje.—
—«Matko! matko! gdzież mój luby?
Próżne modły! próżne śluby!
On zginął! matko droga!
Ach! nié ma, nié ma Boga!"—

—«Stój! stój! nieszczęsna! o Boże!
Bluźnierczéj przebacz żałości!
Proś Boga, on cię wspomoże,
On ojciec pełen litości."—
—«Cóż on mi zrobił dobrego?
O cóż mam prosić u niego?
On się światem nie trudzi,
Śmieje się z płaczu ludzi."—

—«Porzuć ten zbrodniczy lament,
Biada! kto Bogu złorzeczy;

Weź Przenajświętszy Sakrament,
On cię z szaleństwa uleczy."—
—«Daremnie, matko! daremnie!
Precz twe namowy ode mnie!
Sakrament mąk nie skróci,
Umarłych nie ocuci."—

—«Lecz zkądże pewność, jeżeli
Żbigniew nad brzegiem Dunaju,
Z inną już łoża nie dzieli,
Niepomny ciebie i kraju?
Córko! posłuchaj co radzę,
Niech żal ustąpi zniewadze;
Zapomnij go, a w niebie
Bóg się pomści za ciebie."—

—«On Rycerz! zdradzić nie może
Ani kochanki, ni kraju;
W grobie on chyba ma łoże,
Albo gdzie na dnie Dunaju!
Tam chyba znajdę wesele,
Gdy z nim to łoże podzielę;

Lecz cóż mi pacierz nada?
O! biada mi! o biada!"—

—«O! Boże! Boże litości!
Nie racz jéj karać w twym gniewie;
Ona dziś w zbytku żałości,
Sama rzeczonych słów nie wie!—
Córko! znoś ziemskie cierpienie,
Pomnij na Boga, zbawienie;
Tam wiecznéj chwały wieniec,
Tam wieczny oblubieniec!"—

—«O matko! cóż mi zbawienie?
O matko! cóż mi jest piekło?—
Z nim dla mnie tylko zbawienie,
Bez niego wszędzie mi piekło!—
Zbigniewie! byle przy tobie,
Niebo dla mnie w zimnym grobie,
Niebo w piekle; bez ciebie,
Piekło mi nawet w niebie!"—

Tak ogniem wściekłéj rozpaczy
Paląc się, Bogu złorzeczy;

Prożb nie słucha, rad nie baczy,
Targa włosy, pierś kaleczy,
I ręce łamie bez końca;
Od samego wschodu słońca,
Aż do poźnego mroku,
Jęk w ustach, łza na oku.

Noc była — nagle po błoniu
Zahuczał tentent podkowy,
I rycerz na czarnym koniu,
Wbiegł na dziedziniec zamkowy.
Zskoczył z konia, szabla szczękła,
Rumak parsknął, klamka brzękła,
Przeze drzwi głos surowy,
Z temi się przedarł słowy:—

— «Ha! Lenoro! jak się miéwasz?
Jak myślisz o mnie po wojnie?
Śmiejesz się, czy łzy wylewasz?
Czuwasz-li, czy śpisz spokojnie?"—
— «Tyż to! Zbigniew! Czy nie we śnie?
Zkąd powracasz tak niewcześnie?

Dawno ciebie czekałam,
Nie spałam i płakałam!"—

—«My tylko jeździm z północy!—
Poźnom się wybrał od siebie;
Leciałem co koń miał mocy,
A przyjechałem po ciebie."—
—«Co! po mnie? dziś? o téj porze?
Zimny wiatr świszcze na dworze;
Do mnie! do mnie, kochanku!
Poczekajmy poranku."—

—«Nie mogę; nie, moja droga!
Nie dbaj na zimno, na ciemno;
Koń parska, brzęczy ostroga,
Muszę jechać — siadaj ze mną!
Siadaj ze mną! dziś przededniem,
Musimy stanąć pod Wiedniem;
Nie zwłócz chwili daremno,
Dziewczyno, siadaj ze mną!"—

—«Czyż to podobna do wiary,
Sto mil dziś ubiedz, mój miły?

Słyszysz! jeszcze brzmią zegary,
Co jedénastą wybiły."—
—«Nic to! nic to!— miesiąc świeci,
Nocny jeździec prędko leci!
Nim ranne błyśnie zorze,
Staniesz na moim dworze."—

—«Gdzież twój dom?— «O! ztąd daleko!
Na wzgórku, na polu wojny,
W zielonym gaju nad rzeką,
Chłodny, mały, lecz spokojny."—
—«Będzież tam miejsce przynamnie?"—
—«Dosyć dla ciebie i dla mnie!
Śpiesz się! droga daleka,
Tłum gości na nas czeka."—

Niepewną, bladą i drżącą,
Zbigniew na ganek prowadził,
I w pół niechcącą, w pół chcącą,
Przy sobie na koń posadził.
A wiatr szumi, gwiazdy świecą,
Oni lecą, oni lecą;

Coraz daléj z pod stopy
Grzmiące tętnią galopy.

Jak mgła nikną, z każdéj strony,
Łąki, pola, wsie i grody;
Leci rumak rozogniony,
Wprost przez lasy, wpław przez wody.
—«Ha! dziewczyno! miesiąc świeci!
Martwy jeździec prędko leci.
Nie strach umarłych tobie?"—
—«Wieczny im pokój w grobie!"

Cóż to tam słychać za jęki,
I czarne kruki łopocą?
Ten śpiéw śmierci, dzwonów brzęki!—
Kogoż to chcą grzebać nocą?—
Niosą trunę, koło truny
Blade lampy i całuny;
Przodem, czarno ubrani,
Pieją smutnie kapłani.

—«Dość tych jęków, przyjaciele!
Poźniéj ciało złóżcie w grobie;

Teraz do mnie, na wesele!
Młodą żonę wiozę sobie.
Za mną, z amną! wszyscy w koło,
Zanóćcie mi pieśń wesołą;
Xięże! mów słowo Boże,
Żegnaj małżeńskie łoże!"—

Rzekł Zbigniew, wnet na te słowa
Wszystko znikło, wszystko ścichło;
Cała tłuszcza pogrzebowa,
Tuż, tuż, za nim śpieszy rychło.
A wiatr szumi, gwiazdy świecą,
Oni lecą, oni lecą;
Coraz mocniéj z pod stopy
Grzmiące tętnią galopy.

Jako woda, tak nad niémi,
W tył się zdaje płyną chmury;
Tak przed niémi, tak pod niémi,
Nikną pola, lasy, góry.
«Ha! dziewczyno! miesiąc świeci!
Martwy jeździec prędko leci!

Nie strach umarłych tobie?"—
— «Wieczny im pokój w grobie!"—

— Patrz tam, patrz! na górze, w lasku,
W długie się wiążąc łańcuchy,
Przy mdławym xiężyca blasku,
We mgle ciche tańczą duchy.
«Do mnie! do mnie, przyjaciele!
Do mnie, do mnie, na wesele!
Tańczcie wszyscy w około,
Zanóćcie pieśń wesołą!"—

I wnet z hukiem, i wnet z szumem,
Z jakim w puszczy wiatr szeleszcze,
Za rycerzem bieżąc tłumem,
W dłoń posłuszna zgraja pleszcze.
A wiatr szumi, gwiazdy świecą,
Oni lecą, oni lecą;
Coraz daléj z pod stopy
Grzmiące tętnią galopy.

W koło nich w świetle xiężyca,
Nikną pola, góry, drzewa;

Tuli się drżąca dziewica,
Do zimnéj piersi Zbigniewa.
—«Ha! dziewczyno! miesiąc świeci!
Martwy jeździec prędko leci!
Nie strach umarłych tobie?"—
—«Ach! daj im pokój w grobie." —

—«Koniu, mój koniu! kur pieje,
I rosa błyszczy po błoniu;
Czuję, już ranny wiatr wieje.
Prędzéj, prędzéj, prędzéj koniu!"—
Koń się wzmaga, nozdrzem pryska,
Nogą w niebo piasek ciska.
—«Ha! ot i dom Lenoro!
Umarli jeżdżą skoro."

Wnet widać żelazną bramę,
Któréj twarde rygle strzegły;
Rycerz dotknął, pękły same,
Drzwi się na ścieżaj rozbiegły.
Przebóg! cóż to za zjawienie?
W koło krzyże i kamienie!

A mdławy blask miesiąca
O groby się roztrąca.

Rumak ogniem parsknął z garła,
Wśpiął się, zarżał, jak grom ryknął,
Ziemia się pod nim rozwarła,
Ogień buchnął, rumak zniknął;
Nagle słychać szelest głuchy,
Z grobów, z góry, tłumne duchy
Wstają, lecą i płyną;—
Cóż ty teraz dziewczyno?

W dłoni tuląc blade czoło,
Na kochanka piersi mdleje;
A chór duchów tańcząc wkoło,
Tę jéj z cicha piosnkę pieje:
«Cierp, choć z żalu serce pęka,
Straszna Boga zemsty ręka!
Tu zwłoki zginąć muszą—
Boże! miéj wzgląd nad duszą!"

1822.

PRZYPISEK DO BALLADY LENORA.

Treść poprzedzającéj ballady wziął autor z powieści gminnéj, upowszechnionéj w Niemczech, a z małą co do szczegółów różnicą, i naszemu pospólstwu znajomej. W obu narodach musiała bydź kiedyś wiérszem ułożoną, co zdają się potwierdzać małe z niéj dotąd pozostałe ułamki, co dziwna, że też same w obu językach. I tak np. u nas, między innemi są cztéry następujące wiérsze:

«Miesiąc świeci,
Martwiec leci,
Sukieneczka szach, szach,
Panieneczko, czy nie strach?"

a które zupełnie prawie odpowiadają niemieckim:

«Der Mond, der scheint so helle,
Die Todten reiten so schnelle,
Graut Liebchen auch dir nicht?"

Słowa te podały Bürgerowi pierwszą myśl jego ballady. Późno raz bowiem przy blasku xiężyca powracając do domu, napotkał śpiewającą je kobiétę; a zastanowiony piękną ich prostotą, wypytawszy się o resztę powieści, napisał z niéj w 1772 r. Lenorę, która, przez znakomitego krytyka Schlegela, Królową Ballad nazwana, obudzając licznych naśladowców, nadała stały charakter balladom niemieckim, który po dziś dzień noszą.

MYŚLIWIEC.

Ballada

z Bürgera.

Pan lasów bije w róg grzmiący,
«Daléj konno! daléj pieszo!"
Rwie się, hasa rumak rżący,
Wkoło zbrojno strzelce śpieszą;
Pan siadł— kopnął rumak skory,
Przez ciernie, ściernie i bory.

Ledwie piérwszy świt niedzielny
Złotem oblał krzyż kościoła,
Świętych dzwonów brzęk weselny,
Na modlitwę wiernych woła.

Zdala wdzięczne brzmi śpiewanie,
Biegą tłumnie Chrześcijanie.

Przez rozdroże szybko, żwawo,
Hasa na myśliwców przedzie;
Lecz patrz! lecz patrz! w lewo, w prawo,
I ztąd, i ztąd, rycerz jedzie.
Koń prawego jak śnieg biały,
Lewego jak żar roztlały.

Kto rycerz prawy? kto lewy?
Domyślam się coś, lecz nie wiém.
W czarnéj zbroi jechał Lewy,
Wzrok piekielném tlał żarzewiem;
Prawy w śnieżystém odzieniu,
Promień wiosny niósł w spójrzeniu.

«Witam ciebie! witam ciebie!"
Rzekł Pan zdjąwszy czapkę z głowy —
«Ni na ziemi, ni na niebie,
Nié ma zabawki nad łowy!"—
Rzekł, śpiął konia, i w dłoń klaszcze,
I w róg trąbi, i psy głaszcze.

Na to Prawy rzekł do niego:
«Źle się zgadza trąba boru,
Z brzękiem dzwonów, z śpiewem choru!
Nie spolujesz nic dobrego;
Wierz mi, wróć się, porzuć łowy,
I złych Aniołów namowy.

— «Poluj, poluj pośród boru!
Przerwał Lewy — „poluj dłużéj!
Cóż ci dzwony? co bek choru?
Trąba za wtór im posłuży!
Na mnie się zdaj, o młodzieńcze!
Bezpieczeństwo ja ci ręczę.”—

— «Oto mowa godna męża!
Dobréj radzie chęć ma sprzyja;
Komu straszny szczęk oręża,
Niech trzepie *Ave Maria*.
Marne groźby, próżne gniewy!
Daléj, daléj, mężu Lewy!”—

I hop, hop, hop, rumak skory,
Hasa, leci, śród trąb wrzawy,

Z dolin w doły, z gór na góry,
Obok rycerz Lewy, Prawy.
Wtém, jak śnieg biały, z gaika
Na pole jeleń wymyka.

«Na tu! na tu! daléj dzieci!
Prędzéj konny, prędzéj pieszy!"—
Pan na czele, jak wiatr leci,
W koło strzelców orszak śpieszy;
I z smycz lotne mknęły charty.
Hasa rumak kolcem sparty,

Hasa, leci w chmurach pyłu;
Patrzaj, patrzaj! w jednéj chwili,
Strzelce z przodu, strzelce z tyłu,
W koło źwierza oskoczyli.
Koń pod jednym na kiel chwyta,
Jeździec zleciał pod kopyta.

— «Mniejsza! krzyknął Pan rozżarty,
Bierz go djabel! niech się wali!
Na tu! na tu! bežha charty!
Na przód, na przód! daléj, daléj!"—

Hasa, leci rumak żwawy,
Obok rycerz Lewy, Prawy.

Żwierz na zbożne pędzi łany,
Złotym pływające kłosem;
Patrz! wieśniak łzami zalany,
Błagającym woła głosem:
«Panie! miéj litość! przez nieba!
Nie wytłaczaj biédnym chleba!"—

Skoczył Prawy i ostrzega:
—«Wróć się, wróć się, mężu młody!"—
Lecz Lewy umysł podżega,
Do zabawy z cudzéj szkody.
Pan pogardził radą zdrową,
Za Lewego szedł namową.

—«Co! krzyknął gniewem rozżarty,
Śmiesz mię spędzać z twego pola?
Precz ztąd! lub wnet spuszczę charty.
Towarzysze! za mną! hola!
Daléj za mną!"— Tak Pan wrzasnął,
I nad uchem pejczem klasnął.

«Na tu! na tu! heco! heco!"
Warczą rogi, brzęczą bronie;
Przez płot sadzą, w ogród lecą,
Pan i strzelce, psy i konie;
Trąbią, lecą przez zasiewy,
Obok rycerz Prawy, Lewy.

Przed blizkiemi jeleń sfory,
Lekką stopą wiatr wyściga;
Z dolin w doły, z gór na góry —
Tuż zziajana psiarnia ściga.
Zwierz chcąc chytrze ujść od szkody,
Wpadł i skrył się między trzody.

Lecz przez góry, lecz przez bory,
Lecz przez łąki i przez błonie,
W zdradzające zwierza tory,
Lecą strzelce, psy i konie.
Pasterz padłszy na kolana,
Tak ze łzami błaga Pana:

«Panie! cofnij twoje łowy,
Użal się mojéj biédoty!

Nie jednéj tu krówka wdowy,
Nie jednéj jagnię sieroty;
A ich wszystkiém jest to jedno.
Ocal, Panie, trzodkę biédną!"—

Skoczył Prawy i ostrzega:
—«Wróć się, wróć się, mężu młody!"—
Lecz Lewy umysł podżega,
Do zabawy z cudzéj szkody.
Pan pogardził radą zdrową,
Za Lewego szedł namową.

—«Precz mi z prożbą! precz mi z radą!
Ty mi dawać śmiész nauki?
Precz! lub wnet ciebie i stado,
Psy me rozerwą na sztuki.
Daléj za mną!"— Tak Pan wrzasnął,
I nad uchem pejczem klasnął.

«Na tu! na tu! heco! heco!"
Za przykładem, za rozkazem,
Strzelce, konie i psy lecą,
Walą zębem i żelazem.

Rzną się, warczą charty wściekłe,
Szarpiąc sztuki krwią ociekłe.

Ledwie wymknął z pośród tłuszczy,
Coraz słabszym jeleń lotem,
Krwią zbryzgany, zlany potem,
Znów się chroni w gęstwach puszczy;
Śród drzew miga, w głębi znika,
Wpadł do chatki pustelnika.

Szybko, żwawo, z pejczów klaskiem,
Z hukiem i tententem koni,
Z brzękiem, dźwiękiem i trąb wrzaskiem,
Zjadła psiarnia źwierza goni.—
A wtém z chatki, w szacie białéj,
Wyszedł starzec osiwiały.

«Niebaczny! szanuj te progi,
Nie leć w przepaść zgubnéj matni!
Jeszcze moment do przestrogi,
Jeden tylko — i ostatni!—
Wróć się, nie gardź radą zdrową,
Miecz zemsty nad twoją głową!"

Troskliwie Prawy nalega:
— «Wróć się, wróć się, mężu młody!"—
Lecz Lewy umysł podżega,
Do zabawy z cudzéj szkody.
Pan pogardził radą zdrową,
Za Lewego szedł namową.

— «Rad mi żadnych nie potrzeba,
Groźba mię nie przejmie trwogą;
Choćbyś był z trzeciego nieba,
Gardzę tobą i przestrogą!
Próżne słowa! marne gniewy!
Daléj, daléj, mężu Lewy!"—

Z pejcza klasnął, w róg uderzył,
«Daléj, daléj!"— konia śpina;
Wtém — o dziwy! ktożby wierzył?
Starzec, chatka, psy, drużyna,
Wszystko razem w oka mgnieniu,
Znikło, jak sen przy ocknieniu.

Przerażony w martwéj ciszy,
Chce zatrąbić — trąba niema;

Krzyknął — sam siebie nie słyszy:
Tchu ni głosu w piersiach nie ma.
Spójrzy — w koło mgłą okryty;
Chce uciekać — koń jak wryty.

A wtém, z dołu, z góry, z boków,
Mgła się zgęszcza, ściemnia, chmurzy;
Pod nim zda się szum potoków,
Nad nim zda się szelest burzy;
Aż ze świstem wichru z chmury,
Głos, jak piorun, zabrzmiał z góry:

«Bezbożny! coś w bliźnim brata,
Stwórcy nie uczcił w stworzeniu;
Zaślepiony pychą świata!
Poznaj w wiecznem zatraceniu,
Że Bóg wszystkich stworzycielem,
Wszystkich ojcem, i mścicielem.

«Uciekaj przez wieków wieki,
Szczwany od czartów i piekła,
Dla przykładu w czas daleki,
Wszystkim, których chuć zaciekła,

Nie znając ni praw, ni granic,
Ludzi i Boga ma za nic."—

Głos zmilkł — a wtém z trzaskiem gromów,
Ziemia wstrząsa się, rozpada,
I z bezdennych jéj rozłomów,
Leci czarnych psów gromada,
I z ognistym biczem w dłoni,
Czarny jeździec do pogoni.

«Na tu! na tu! heco! heco!"
Klaskiem, wrzaskiem, huczy puszcza;
Gończe skomlą, charty lecą,
Jeździec głosem je poduszcza.
Tuż, tuż, z tyłu — już dopada —
«Uchodź, uchodź! albo biada!"

Pan się porwał, śpiął rumaka,
Rumak skoczył — i w podskoku
Zawisł w górze — i w obłoku,
Pędem wichru, lotem ptaka,
Leci, leci — a tuż wściekła,
Ślad w ślad za nim psiarnia piekła.

Już, już, zda się, już go chwyta —
Z paszcz dym bucha, ogień świeci;
Już chce szarpać — wtém z kopyta
Koń się wymknie, i znów leci —
I nie stanie w pędzie wiecznym,
Aż na sądzie ostatecznym.

Ztąd ten hałas dzikiéj tłuszczy,
Który to w nocy, to we dnie,
Brzmiąc po skałach Czarnéj Puszczy,
Przeraża strony sąsiednie.
Nie wierzysz? spytaj! te dziwy
Każdy rad stwierdzi myśliwy.

1822 r.

PRZYPISEK DO BALLADY MYŚLIWIEC.

Ballada ta, nosząca w oryginale tytuł: *Der wilde Jäger* (dziki strzelec), należy do najsławniejszych płodów Bürgera. Podanie znajome w Niemczech, na którém się ono opiéra, jest następujące. Niejaki Falkenburg, dozorca lasów królewskich, całkiem oddany polowaniu, tak przytém był rozwięzły i srogi, że urągając się z religijnych obrządków, w niedzielę tylko, lub w inne dni poświęcone modlitwom, wyjeżdżał zwykle na łowy, najdzikszych nad swémi poddanémi dopuszczając się okrucieństw. Po jego śmierci lud przyjął powszechne mniemanie, że za karę, przez zbytnią chęć do łowów popełnionych zbrodni, Bóc go potępił na wieczne polowanie po śmierci. Częstokroć w głębi ciemnych lasów w Niemczech, a zwłaszcza w pasmie gór, *Czarnym Lasem*, lub *Czarną Puszczą* (Schwarzwald) zwanych, dają się słyszeć jakieś hałasy. Pochodzą one, jak mi jeden uczony niemiecki naturalista powiadał, z krzyku ptastwa zwanego *Scolopax Gallinago*, które się tłumnie po tych lasach znajduje; gmin jednak pragnie w nich rozróżniać znany głos Falkenburga, szcze-

kanie psów i trąb dźwięki, i ztąd słyszany szelest łowami Dzikiego Strzelca nazywa.

Razu pewnego, młody jeden myśliwy, obłąkany nocą śród lasu, usłyszał blizko siebie ten hałas, a chcąc doświadczyć prawdy, «*Glück zu! Falkenburg!*" zawołał!— «Dzięki Ci!" odpowiedział głos gruby, «za dobre życzenie, podzielmy się zdobyczą;" i kawał przegniłéj zwierzyny upadł pod nogi zuchwałego młodzieńca, który wkrótce utracił dwa najlepsze konie, i nigdy dostatecznie z doznanego przestrachu przyjść do siebie niemógł. Powieść ta jakkolwiek od różnych różnie powtarzana, jest przedmiotem wiary gminu w całych prawie Niemczech.

WIERNOŚĆ.

Ballada

z Bürgera.

Kto chce mieć kochankę dla siebie jedynie,
Nie lubi ni miasta, ni dworu.
Pan dworski raz w pięknéj kochał się dziewczynie,
I chcąc ją dla siebie zachować jedynie,
Strzegł w zamku dalekim śród boru.

Nie zważał na trudy, nie zważał na pory,
Bo miłość trud płaci sowicie.
Jak skoro mrok zapadł, przez góry, przez bory,
Do zamku gdzie miła, niósł jego koń skory,
I stawał u celu o świcie.

Mgłą nocną obwiany, i rosą oblany,
Biegł raz Pan co siły zdaleka;
Już widać, już widać cel drogi żądany,
«Pośpieszaj! pośpieszaj, mój koniu kochany,
Gdzie szczęście i rozkosz nas czeka!"—

Już blizko, już blizko był zamek żądany;
Jak gwiazdka na niebie maleńka,
Tak w jasnych okienkach dzień błyszczał rumiany.
«Ach! wstrzymaj słoneczko, twój promień zbyt ranny!
Ach! nie świeć w mój miłéj okienka!"

I przybył pod zamku cieniste ogrody,
I konia zostawił zdaleka,
Gdzie łączkę rozkwitłą przepływał zdrój wody;
A sam biegł skwapliwie przez tajne przechody,
Gdzie mniemał, że rozkosz go czeka.

Wszedł cicho — lecz jakąż przejęty był trwogą!
Ach! jakże w nim serce zadrżało!
Gdy w zimném łóżeczku nie znalazł nikogo.
«Któż porwał? zawoła, kochankę mą drogą?
Ach przebóg! ach! co się z nią stało?"—

I z izby do izby wołając przebiega,
Lecz wszystko w ponuréj śpi ciszy;
A echo się tylko po salach rozlega,
I mdlejąc powoli, po gmachu przebiega —
Wtém nagle podziemny jęk słyszy.

To stary murgrabia był w sklepie zamknięty,
Któremu straż zamku zlecona.
— «Gdzie moja kochanka? mów starcze przeklęty!
Mów! co się tu stało, żeś w sklepie zamknięty?
Gdzie ona? mów prędzéj, gdzie ona?"—

— «Ach! wielkie się Panie nieszczęście zrobiło!
Młodzieniec tu jakiś nieznany,

Wpadł w nocy na zamek, ze zbrojną swych siłą,
Mnie wtrącił do sklepu, i porwał twą miłą,
I twoje dwa wierne brytany."—

Aż zimny mróz Pana po ciele przeszywa,
A z oczu mu szczéry żar świeci;
A w sercu mu zemsta zawrzała straszliwa:
Z okropném przekleństwem miecz z pochew dobywa,
I wpada na konia i leci.

Nie trudno zgadł, którą ubiegli ztąd drogą,
Po śladach po rosie, na błoniu.
Więc leci, i konia w bok kole ostrogą:
«Ach! daj się mi pomścić za krzywdę tak srogą,
Pośpieszaj! pośpieszaj mój koniu,

«Ach! będę ich ścigał, choć za kraj gdzie świata!
Pośpieszaj, pośpieszaj mój koniu!
Sowita cię pewnie nie minie zapłata,
Bez pracy, bez trudów, przepędzisz twe lata,
Przy złotym obroku, na błoniu!"—

Tak woła, i w koło miecz kręci dobyty,
A rumak jak może wyskoczy;
Aż ziemia grzmi zda się, tak tętni kopyty,
Aż z wiatrem w powietrzu miecz świszcze dobyty,
Aż rosa bót jeźdzca obmoczy.

Wtém kiedy na wzniosły pagórek wybiegą,
Przy świetle bladawém jutrzeńki,
Młodzieńca z dziewicą w dolinie postrzegą;
A wierne brytany do Pana przybiegą,
I łasząc się skaczą do ręki.

«Stój zdrajco bezczelny!"— Pan gniewny zawoła,
A w sercu wre zemsty chęć wściekła;
«Jeżeli masz śmiałość nadstawić mi czoła,
Pójdź do mnie, psie podły! a miecz mój podoła
Dziś jeszcze cię wtrącić do piekła!"—

Młodzieniec nieznany daleki był trwodze,
Miał męztwo i siłę straszliwą.

Na takie obelgi, gniew zawrzał w nim srodze;
Bystremu koniowi zawściągnął więc wodze,
I skoczył ku Panu co żywo.

I jeden i drugi miecz wstrząsa nad głową,
I obaj zskoczyli wnet z koni;
I z okiem iskrzącém, i z twarzą surową,
Spotkali się, zwarli;— szczęk huczy dąbrową,
A iskry się sypią z ich broni.

I jeden i drugi nastaje i siecze,
Już obu krew broczy pancerze;
Jak ognie się jakie krzyżują ich miecze,
Z obudwu znój ciężki, z obudwu krew ciecze,
Obadwaj są równi rycerze.

Wtém kiedy już obaj osłabli na sile,
Zawołał Młodzieniec: «O Panie!
«Jeżeli się zgodzisz, przestańmy na chwilę,
Nie bój się podstępu, odpoczniem na sile,
A ja ci otworzę me zdanie.”—

Pan utkwił miecz w ziemię, i czekał spokojnie,
Co powié Młodzieniec nieznany.

— «Daremnie, o Panie, walczymy tu zbrojnie,
O tę rzecz, co możem ukończyć spokojnie,
Gdy zechcesz, bez bitwy, bez rany.

«Na lepsze krew winni oszczędzać rycerze;
Niech spór nasz rozstrzyga sąd damy.
Lecz słowem rycerskiém zaręczmy się szczerze,
Że kogo z pomiędzy nas sobie obierze,
Bez sprzeczki ją temu oddamy."—

Pan przypadł na układ, i myślał sam w sobie:
«Mnie przenieść powinna nad niego.
Ach! czyżem jéj w każdéj nie wierny był dobie?
Ach! czyżem ją kiedy naraził ku sobie?
Czyż kiedy zabrakło jéj czego?—

«Mnie przenieść powinna!" — tak myślał Pan z cicha,
I słodkiéj był pełen nadzieje.
Lecz ona dość piła z jednego kielicha;—
A ja was, Panowie, ostrzegam nie z cicha,
Że miłość zdawniała nie grzeje.

Nie długo się Dama w namyśle wahała,
Bo gdy się rycerze zbliżyli,
Nowego, młodszego, wnet sobie obrała,
I białą mu rękę z uśmiechem podała,
I usta ku niemu nachyli.

Więc Pana żegnali, i daléj jechali,
Młodzieniec nieznany z dziewczyną.
Pan ścigał ich wzrokiem, aż znikli w oddali;
Żal ściska za serce, twarz gniewem się pali,
A z oczu mu gęste łzy płyną.

Sprzecznością tych uczuć i myśli miotany,
Daremnie chciał przemódz swe bole;
I upadł zemdlony pomiędzy brytany,
Te skaczą w około, i liżą mu rany,
I liżą znój ciężki na czole.

To znowu mu w oko dzień wniosło stracony,
I życie po członkach rozlało;
Wiernością brytanów aż do łez wzruszony,

Przypomniał z żałością na skarb swój stracony,
Bo jeszcze go serce kochało.

Wtém kiedy łzy smutku ulżyły mu brzemie,
Co z oczu płynęły jak rzeka,
Chciał wracać do domu; więc podniósł się z ziemie —
Lecz nogę zaledwie postawił na strzemię,
Gdy słyszy wołanie zdaleka.

Więc spójrzy, aż oto Młodzieniec nieznany
Przybiega doń w pyle i znoju;
«Dziewica, od której dziś jestem wybrany,
Przysyła mię po twe dwa wierne brytany,
Lub oddaj, lub stawaj do boju.”

Pan wsparł się na mieczu, i słuchał spokojnie,
Co mówił Młodzieniec nieznany.
— «Daremnie, młodzieńcze, chcesz walczyć wnet zbrojnie,
O tę rzecz, co możem ukończyć spokojnie,
Gdy zechcesz, bez bitwy, bez rany.

«Na lepsze krew winni oszczędzać rycerze;
My spór nasz na wolą psów zdamy.
Lecz słowem rycerskiém zaręczmy się szczerze,
Że który którego za pana obierze,
Bez sprzeczki go temu oddamy.”—

Rad przypadł na układ Młodzieniec nieznany,
I skrycie się cieszył z umowy;
Albowiem w swéj myśli był pewnym wygranéj,
Nie wątpił że zwabić potrafi brytany,
I wabił je ręką i słowy.

I woła, i cmuka, i bije w kolana,
Słodkiemi łakotki przynęca;
Lecz wierne brytany przyskoczą do Pana,
I skaczą w około, i liżą kolana,
A zębem swym straszą Młodzieńca.

1822 r.

ŚWIETLANA.

Ballada
z Żukowskiego.

Raz ciekawe przyszłéj doli,
Różnemi kabały,
Dziewice wiją Trzech Króli [1]),
Przyszłość zgadywały.
To policzoném ziarenkiem
Gołąbki karmiły [2]);
Biegły słuchać pod okienkiem [3]),
Biały wosk topiły [4]).
To w kielich wodą nalany,
Kładły pierścień pozłacany,

Każda z prawéj ręki [5]).
Nad nim dzierżąc obrus biały,
Wszystkie razem w takt śpiéwały
Godowe piosenki.

Noc już była; xiężyc blady
Świeci przez tumany:
Wtém najweselszą z gromady
Rzecze do Świetlany.
«Siostro! masz-li wiecznie łzami
Zlewać twarz rumianą?
Tańcuj z nami, śpiéwaj z nami,
Kochana Świetlano!
Wróci wkrótce twój młodzieniec,
Wij mu z róży, z ruty wieniec,
Złoty pierścień z ręki
Rzuć do czary, potém w koło
Skacząc z nami, nuć wesoło
Godowe piosenki!"—

— «Lube siostry! nie zmuszajcie
Śpiéwać mię ni skakać;

Wy szczęśliwe, wy śpiéwajcie,
Mnie pozwólcie płakać!
Rok już minął, żadnéj wieści
O miłego bycie;
We łzach gorzkich i boleści
Młode wlokę życie.
Zginął-li?— czy mię niepomny,
W obcéj ziemi, wiarołomny,
Z łez mych czyni śmiechy?—
Ja się modlę, ja łzy leję;
Utul żałość, wróć nadzieję,
Aniele pociechy!" —

Wtém patrz! za starszych poradą,
Niosą stół dziewice;
Na nim dwa talerze kładą,
Palą cztéry świéce.
Stawią źwierciadło na stole,
Biało podesłane;
Piszą koło, i w tém kole
Sadzają Świetlanę.

«Siedź, i nic się nie bój wcale:
W czystym źwierciadła krysztale
Obaczysz kochanka.
Jak skoro północ uderzy,
Siądzie z tobą do wieczerzy,
Zabawi do ranka.”—

Już w izbie nié ma nikogo;
Naprzeciw źwierciadła,
Cała drżąca, z tajną trwogą,
Dziewica usiadła.
Na najmniejszy szelest trzyma
Wytężone ucho;
Nie śmié w tył rzucić oczyma—
Wkoło ciemno, głucho.
Płomyk tylko świéc nie jaśnie
To wybuchnie, to przygaśnie,
Zwęża się, to szerzy;
Wtém wiatr świsnął po dolinie,
Smutnie świerknął świerszcz w szczelinie,
Północ bije z wieży.—

Północ!— Nagle w martwéj ciszy,
Strwożona dziewica,
Lekki klamki brzęk usłyszy.
Pot wybił na lica,
Srogie zimno ją przepadło,
Pierś się trwogą wzdyma —
Któż to patrzy we źwierciadło
Bystremi oczyma?—
W zbladłych ustach mdleje mowa;
A wtém ciche, miłe słowa
Głos wymówił znany:
«Po co bojaźń? po co trwoga?
Tom ja z tobą, moja droga!
Płacz twój wysłuchany.»—

Obejrzy się — ku niéj miły
Wyciągając ręce:
«Łzy twe Niebo umodliły,
Koniec wspólnéj męce!
Śpiesz Świetlano! już w kościele
Kapłan na nas czeka;

Śpiesz kochanko na wesele,
Droga niedaleka!"—
Rzekł — w jéj sercu żar wzajemny.
Idą przez dziedziniec ciemny,
Na szeroki ganek;
Gdzie dwa konie niecierpliwe,
Brzęcząc cuglem, jeżąc grzywę,
Czekają u sanek.

Siedli — konie w szybkim biegu
Zda się nie tkną ziemi;
Z pod kopytów chmura śniegu
Wzniosła się nad niemi.
Ciemno w koło, pusto w koło,
Step w oczach Świetlany;
I xiężyca blade czoło
Omgliły tumany.
Zimny strach jéj serce chwyta;
Z trwogą dziewica zapyta:
«Blizkiż koniec jazdy?"—
Ni pół słowa odpowiedzi;

Miły cichy, smutny siedzi,
Wzrok wlepiony w gwiazdy.—

Konie lecą śród bezdroży,
Po górach, po błoniu;
Patrz! samotny kościół Boży
Stoi na ustroniu.
Wicher drzwi otworzył z trzaskiem,
I widać w kościele,
Ołtarz rzęsnym płonie blaskiem,
W koło ludu wiele.
W środku katafalk ubrany,
I słychać, z jękiem zmieszany,
Smutny śpiew pogrzebu.—
Strach dziewicę zdjął nanowo—
Konie mimo— On surowo
Pogląda ku niebu.—

Nagle świszcze wiatr z za chmury,
Śnieg zrywając z ziemi;

Czarny kruk szumnemi pióry
Wije się nad niémi.
Strasznym wrzaskiem wieszczy trwogę.
Polękane konie,
Szybko lecą w dalszą drogę,
Przez góry, przez błonie.
W mrocznéj dali ogień błyska,
I wnet widać, chatka niska
Kryje się w ustroni;
Coraz ciemniéj gwiazdy świecą,
Coraz prędzéj konie lecą,
Lecą prosto do niéj.

Przyleciały wnet przed ganek —
I ach! — cud niezwykły!
Konie, sanki i kochanek
W oka mgnieniu znikły.
Sama jedna w pośród nocy,
Sama w pośród wici;
Zkąd ratunku, zkąd pomocy,
Zkąd czekać nadziei? —

Wracać?— śnieg już zawiał ślady.—
W izbie błyska płomyk blady,
Tam więc wsparcia szuka.
Uzbrojona znakiem krzyża,
Powoli się ku drzwiom zbliża,
Zlekka w nie zastuka.

Z cichym szmerem się otwarły.
Lecz trwoga po trwogach!
W środku trumna, w niéj umarły,
Krzyż i lampa w nogach.
Wejść czy nie wejść? stojąc w progu
Dziewica się chwieje;
Weszła wreście, ufne w Bogu
Złożywszy nadzieje.
We łzach cała, drżąca, zbladła,
Z trwogą na kolana padła
W pełnéj serca wierze;
Potém wziąwszy krzyż do ręku,
Poszła, siadła przy okienku,
Kończyć swe pacierze.

Wicher ustał, scichły wieje;
W izbie lampa blada,
Coraz, coraz słabiéj tleje,
Coraz głębiéj spada.
W koło ciemno, w koło głucho,
Wszystko w martwéj ciszy;
Przebóg! lecz dziewicy ucho
Jakiż szelest słyszy?
Spójrzy trwożna — ku niéj z góry,
Gołąbeczek śnieżno-pióry
Przylatuje scicha;
Przyleciał, siadł na ramieniu,
W jasném się jego spójrzeniu
Nadzieja uśmiécha.

Ciemno znowu, głucho znowu —
Lecz ach! — czy się zdaje,
Czy z pod czarnego pokrowu
Umarły powstaje?
Powstał nagle, z mar zeskoczy,
Blade podniósł czoło,

W pół otwarte, błędne oczy
Rzucając w około.
Pierś się zdaje znów oddychać,
Twarz czerwienieć, w ustach słychać
Jęk niezrozumiały;
Ku dziewicy się przysuwa —
Ach! cóż ona?— drży— lecz czuwa
Gołąbeczek biały.

Z szumem szybki lot roztoczył
Stróż dziewicy biednéj,
Umarłemu na pierś wskoczył —
I wnet, w chwili jednéj,
Gasną oczy, blednie lice,
W tył się cofnął krokiem;
I zaiskrzył na dziewicę
Pełném grozy okiem.
I padł na wznak.— Lecz, dla Boga!
Co za rozpacz, co za trwoga
Nieszczęsną przejęła!
Na jego skroni jéj wianek!

Umarły, to jéj kochanek!
Ach!— wtém się ocknęła.

Gdzież?— śród izby, u źwierciadła,
Za stołem wieczerzy.
Patrzy w koło, zlękła, zbladła,
Widzi i nie wierzy.
A już trzykroć kogut ranny
Świt obudza pieniem;
Wszystko jasne— myśl Świetlany
Smutna snu widzeniem.
«Straszne widmo! cóż mi wieści?
W grobie-ż tylko kres boleści?
Z śmiercią-ż tylko śluby?—
Czy się Niebo płaczem wzruszy?—
Gdzieżeś, duszo mojéj duszy!
Gdzieżeś o mój luby?"—

Siadła— pierś jéj wzdyma trwoga—
Pod oknem Świetlana;

Z okien jéj szeroka droga
Widna, mgłą owiana.
Już się ranne słońce pali
Siejąc blask ukośny;
Wszystko cicho — nagle w dali
Brzęczy dzwonek głośny.
Po gościńcu, we mgłach śniegu,
Lecą konie w szybkim biegu,
Prosto przed jéj ganek;
Przyleciały wnet, i staną.
Gość wysiada — patrz Świetlano!
Kto gość?— twój kochanek!

Cóż dziewico, sen twój ranny
Przepowiednik męki?—
Patrz! twój miły! żadnéj zmiany;
Też kwitnące wdzięki,
Tenże na licu rumieniec,
Też w ustach rozmowy;
On to, on twój oblubieniec,
I żywy i zdrowy.—

Rozweselcież smutne czoła,
Otwierajcie drzwi kościoła,
Stańcie przed ołtarze.
Niechaj puhar w koło biega,
Niech się z każdych ust rozlega:
«Chwała pięknéj parze!»

PRZYPISKI DO BALLADY ŚWIETLANA.

1) Przesądy i zwyczaje, na których się treść niniejszéj ballady opiera, znajome powszechnie są i między naszém pospólstwem. Przeciąg czasu, między dniem piérwszym Bożego Narodzenia a świętem Trzech Królów zawarty, jest zwykle czasem, w którym młode wieśniaczki, przez rozmaite sposoby, pragną dociec, jak i kiedy za mąż pójść mają.— Między wielu innémi, dwa są celniejsze, które tu pokrótce przytaczam.

Osoba chcąca się dowiedzieć przyszłości, w samotnéj izbie o północy, siada pomiędzy dwóma, lub choć przed jedném źwierciadłem, w które się bezprzestannie wpatrywać powinna: a czyja się w niém postać, jakoby przechodzącéj przez izbę osoby, patrzącemu okaże, z tym go prędzéj czy poźniéj niezawodne spotka małżeństwo.

Drugi sposob jest taki.— Wróżący powinien własną ręką nałożyć ogień, przyprawić i gotować przy nim wieczerzę, z trzech potraw, i samych tylko jarzyn składać się mającą. Poczém sam na dwie osoby nakrywszy do stołu, wychodzi na środek i woła: Ty co mi jesteś przeznaczony, lub przeznaczona w małżeństwo, w imie Ojca

i Syna i Ducha Św., proszę ciebie na wieczerzę, Amen." Postać osoby przeznaczonéj, jakkolwiekby natenczas daléj, nieznanéj, lub jeszcze nieurodzonéj, ukaże się przy stole, i obszedłszy go potrzykroć dokoła, znika.— Wzywający niech się strzeże, aby nakrywając do stołu, nie kładł noża ani widelca, gdyż te w ręku widziadła mogłyby stać się narzędziem zemsty i śmierci.— Pomimo śmieszności tych przesądów, gmin, przynajmniéj w Litwie, niezachwianą do nich przykłada wiarę.

2) Każda z młodych wieśniaczek, odliczywszy pewną ilość ziaren z jakiegokolwiekbądź zboża, a szczególniéj pszenicy, sypie je na podłogę, w jednę zmieciono kupkę. Kupki te formują koło, w środku którego sadzą koguta, lub innego jakiego domowego ptaka, niekarmionego całą dobę i z zawiązanemi oczyma. Po zdjęciu zasłony, ptak z skwapliwością zaczyna jeść ziarna; gdy się nasyci, liczą pozostałe. Dziewica, któréj ziaren najmniéj się zostanie, najpiérwéj ma pójść za mąż, i tak koleją.

3) Z któréj strony wiatr szumi najbardziéj, z téj niezawodnie, do podsłuchującéj, przyjadą swaty.

4) Wosk, lub cynę, po roztopieniu wlewają do zimnéj wody, z form, jakie w niéj przybierze, rokując przyszłość dla téj, która je topiła na ogniu.

5) Po wrzuceniu pierścionków, śpiewają nad niémi rozmaite piosnki, po każdéj strofie wyciągając jeden. Strofa poprzedzająca, staje się przepowiednią dla téj, czyj pierścionek wyjęto.

WIECZÓR PRZED S. JANEM.

Ballada
z Waltera Skotta.

Groźny Baron Smajlhomu, *) przede świtem, sam z domu
Siodła konia, i jedzie za mury.
Obejrzał się; nikogo!— ścisnął konia ostrogą,
I jak wicher zapuścił się w góry.

*) Zamek Smajlhome (*Smejlhom* albo *Smajlholm-Tower*) w Hrabstwie Roxbury, w Szkocyi, sławny z pięknego położenia i widoków, leży pomiędzy dzikiemi skałami, z których jedna nosi nazwisko strażniczéj (*Watchfold*). Treść ballady opiera się na podaniu miejscowém.

Nie w tę stronę gdzie wojna, gdzie Duglasa dłoń zbrojna,
Grzmi piorunem i lśni błyskawicą;
Gdzie ojczyzny nadzieja, dzielne hufce Bukleja,
Stoją murem nad Szkocką granicą.

Przecież od stóp do głowy, cały w zbroi stalowéj,
I koń cały okryty żelazem;
I bojowy miecz w ręku, i zwieszony na łęku
Lśni buzdygan i topor zarazem.

Gdzie pojechał, nikt nie wié; wiedzą tylko, że w gniewie
Był straszliwym przed samą swą drogą.
Lecz nikt przyczyn nie zbadał; Baron z nikim nie gadał,
Słowa o nic nie pytał nikogo.

Dnia czwartego z za góry, nasępiony, ponury,
Baron wraca;— twarz dzika i blada.
I koń widać podbity, kurzem, znojem okryty,
Drży pod jeźdźcem, i omal nie pada.

Baron wraca do dworu, ale nie z Ankram-Moru*),
Gdzie pamiętny zwycięztwem i mordem,
Stoczył bój Duglas mężny, i Lord Buklej potężny,
Z Sir Ewersem, angielskim Milordem.

Zkądże ten znak przy znaku, na puklerzu, szyszaku,
Od brzeszczotu, czy włóczni żeleźców?
Hal i topor stępiony, we krwi widać zbroczony—
Lecz nie we krwi angielskich najeźdzców!

Most przejechał zwodowy, i u bramy zamkowéj
Zsiada z konia, i gwiznął trzy razy.
Jakby czekał już wprzódy, na to hasło paź młody,
Przybiegł skokiem na pańskie rozkazy.

«Słuchaj, paziu mój młody! twéj wierności dowody,
«Wiész, że łaską odpłacam wzajemnie.

*) Bitwa pod Ankram-Moor, zaszła w r. 1545. Wódz Anglików, Lord Evers, z synem, i przeszło 800 ludzi, a między témi wielu najznakomitszych rycerzy, poległo ze strony angielskiéj.

«Mów więc śmiało, licz na niéj; mów gdzie była twa Pani,
«I kto był u twéj Pani beze mnie?"—

— «Lady codzień o zmroku, boczną furtką u stoku,
«Wychodziła, gdy wszyscy już spali;
«I szła prosto na góry, gdzie od pory do pory,
«Pod czas wojny nasz sygnał się pali.

«Dnia piérwszego, mgły sine, okrywały równinę,
«Krok w krok za nią więc mogłem iść blizko.
«Szła z pośpiechem i trwogą; lecz na górze, nikogo!
«Samo jedno gorzało ognisko.

«Dnia drugiego, przed zmierzchem, w szparze skały pod wierzchem,
«Siadłem skrycie, by schadzki dośledzić.
«Nagle spójrzę,— aż stoi, młody rycerz we zbroi;
«Lecz zkąd przyszedł, nie umiém powiedzieć.

«Lady przyszła niedługo, i godzinę i drugą
«Rozmawiali z żywością wzajemnie.

«Lecz deszcz padał kroplami, wiatr szeleścił liściami,
«Nastawiałem więc ucha daremnie.

«Wczoraj wreście, pogoda! niebo czyste jak woda,
«Wietrzyk nawet poprzestał oddychać.
«Znów się skryłem w ustroni, zkąd mi jakby na dłoni,
«Było wszystko i widać i słychać.

«I słyszałem z ust Lady, jéj układy i zdrady,
«Jak mówiła, ściskając młodziana:
'O mój luby, mój drogi! jutro do mnie bez trwogi,
'Przychodź jutro, przed świętym dniem Jana.

'Mąż z Duglasem na wojnie; w zamku wszystko spokojnie.
'Ja ci fórtkę u stoku otworze.

'Przede świętym dniem Jana, straż i czeladź bez pana,
'Będzie piła i spała we dworze.' —

—'Nie! ja nie mogę przyjść; nie! mnie nie wolno przyjść;
'Nie! ja nie śmiém przyjść jutro do ciebie
'Mnie przed świętym dniem Jana, straż gdzie indziéj wskazana,
'Aż świt piérwszy zabłyśnie na niebie.' —

'Któż cię zmusza, kto każe? Gdy się ja tu przyjść ważę,
'Tyżbyś dla mnie nie ważył się na to?
'Przyjdź! noc będzie pogodna; chwila szczęścia swobodna,
'Stanie sercu za wiosnę i lato.

'Ja przekupię wprzód straże, ja psów spuszczać nie każę,
'Ja gałęźmi potrząsnę podłogi;

'Przyjdź, zaklinam więc ciebie, w imię Boga na niebie,
'Przyjdzij do mnie, mój luby, mój drogi!'—

—'Choć stróż będzie zjednany, choć przykute brytany,
'Choć gałęźmi potrząśniesz podłogę;
'Wiész, że xiądz śpi przy wchodzie; on mnie pozna po chodzie,
'Każe w dzwony uderzyć na trwogę.'—

—'Xiądz na rozkaz przeora, już w Drajburgu od wczora,
'Pogrzebowe odprawia modlitwy,
'Za jakiegoś rycerza, co bez skruchy, pacierza,
'Niespodzianie legł wczoraj śród bitwy.'—

«Rycerz podniósł twarz smutną, a był blady jak płótno,
«I zaśmiał się szyderczo i srogo:

'Cha, cha, cha!— rzekł— te modły, co tam xiędza wywiodły,
'Cha, cha, cha! czyż bydź za mnie nie mogą?

'O północy, jak skoro, duchy mocy nabiorą,
'Jak zaklęłaś, tak będę u ciebie!'—
«I to rzekłszy ponuro, znikł gdzieś nagle za górą,
«I Milady wróciła do siebie."—

Baron milczał i słuchał, z oczu, z twarzy żar buchał,
Porwał sztylet, i krzyknął w zapędzie:
«Któż on? kto on? mów! jaki, był herb, zbroja i znaki?
«Ja czy on, jutra widzieć nie będzie!"

—«Hełm i pancerz złocony, miecz na szarfie czerwonéj,
«Za szyszakiem trzy pióra sokole;
«Na puklerzu wyryty, sokół strzałą przebity,
«A u góry trzy gwiazdy w półkole."

— «Paziu! kłamstwo w twéj mowie! Ha! i biada
twéj głowie!"—
Krzyknął Baron, i porwał się z gniewem.
«On bydź nie mógł na górze! on już nie żył w téj
porze;
«On już leżał w mogile, pod drzewem."—

A Paź ręce załamał: „Karz mię, zabij, gdym
skłamał!
«Bo widziałem, słyszałem ja sam,
«Jak go Lady ściskała, jak go Lady nazwała,
«Sir Ryszardem de Koldingham."—

Baron pobladł jak chusta, wlepił oczy, ściął usta,
I stał niemy, aż przemógł swą trwogę.
«Nie! grób jego głęboki; skrzepłe były już
zwłoki;
«Nie! nie mogę wierzyć, nie mogę.

«Gdzie około Melrozu, z gór ciasnego wąwozu
«Twid się w szersze rozlewa koryto,

«Tam na dzikiém rozdrożu, na Ejldońskiém tam wzgórzu,
«Koldinghama śród nocy zabito.

«Zalśniło cię ognisko, wiatr ci przyniósł nazwisko,
«Jeśli wreście już wierzyć ci muszę;
«Bo już trzy dni zań w chorze, tam w Drajburskim klasztorze,
«Xięża psalmy śpiéwają za duszę."—

Tak rzekł, i krok za krokiem, w zadumaniu głębokiém,
Szedł na zamek, gdzie sala wspaniała;
Gdzie jak maju pogoda, jasno-lica i młoda,
Żona jego u okna siedziała.

Lecz w jéj licach nie radość; czarny smutek a bladość!
Siedzi sama, i patrzy tęskniąca,

Na równiny, doliny; na Mertunu las siny,
Na blask Twidu przy świetle miesiąca.

Baron wszedłszy pozdrowił, ale słowa nie mówił,
Wzrok w nią tylko zatapia ciekawy;
Ona drżąca powstała, ona piérwsza spytała,
O nowiny z wojennéj wyprawy.

«Dobre, dobre nowiny! Ankram-moru równiny,
«Trupy wrogów jak mostem zasłały.
«Buklej razem z Duglasem, proszą ciebie tymczasem
«Dawać baczność na nasze sygnały."—

Lice Lady Smajlhomu, krwią zabiegło od sromu.
Słowa więcéj nie rzekli oboje;
Lecz przez kręte w słup wschody, i przez długie przechody,
W swe sypialne odeszli pokoje.

Ale sen był daleki, od obójga powieki.
Próżno Baron powtarzał sam w sobie:
«Nie! to próżna obawa! kto raz umarł, nie wstawa;
«Na wiek wieków zwodziciel śpi w grobie.”—

Noc przed świętym dniem Jana, krótka, chociaż niespana,
Przeszła prędko;— wtém koło poranka,
Sen ogarnął Barona; lecz obawą dręczona,
Oka złożyć nie mogła kochanka.

Wzniosła głowę i słucha:— w koło cisza, noc głucha,
Cały zamek w pomroce i we śnie.
Życie daćby gotowa, by dziś rycerz mógł słowa
Nie dotrzymać — nie przyszedł niewcześnie.

Nikt nie skrzypnął podłogą — a wtém nagle — o trwogo!
Rozsunęły się poły firanek;

Lady spójrzy, aż stoi — tuż u łoża, we zbroi —
O! nieszczęsna! — to on! jéj kochanek!

Przed oczyma ściemniało, serce w piersiach ustało,
Ręką tylko wskazała na łoże.
«O! wiém ja, rzekł, w téj dobie, kto spoczywa przy tobie;
«Lecz się nie bój, on powstać nie może.

«Nie otworzy powieki — on dziś, a ja na wieki;
«On w swém łożu, ja w zimnéj mogile! —
«Trzeci dzień dziś upłynął, z ręki jego jam zginął,
«Xięża za mnie się modlą w tę chwilę.

«Lecz sąd Boga surowy! Gdzie nas słodkie rozmowy,
«Gdzie nas miłość łączyła szczęśliwa:

«Duch mój żalem przykuty, czas grzechowéj pokuty,
«U sygnału na górze odbywa.

«Ale nie miałbym mocy, przyjść aż tutaj śród nocy,
«Bez twych zaklęć przed świętym dniem Jana. —
«Teraz żegnaj na wieki! — mnie czas w kraj mój daleki,
«Gdzie mnie zorza nie spłoszy poranna!" —

W niéj miłości odwaga, nad przestrachem przemaga.
«O Ryszardzie! o! powiédz mi słowo!
«Jest-żeś ty tam zbawiony? czy na wieki zgubiony?" —
Rycerz westchnął, i tylko wstrząsł głową.

«Kto tu przelał krew braci, krwią na sądzie zapłaci;
«Niechaj o tém wié Baron twój mściwy.

«A że miłość nieprawa, tam za grzech się uznawa,
«Przyjm ode mnie ten dowód straszliwy!"—

Rzekł, i dłonią swą lewą, wsparł się o łoża drzewo,
A prawicą dotyka jéj ręki;
Lady wstrzęsła się, zbladła — i jak martwa upadła.
W całym zamku rozległy się jęki.

I nazajutrz tam rano, w drzewie łoża ujrzano,
Wypalonych pięć palców ognistych.
Lecz z ust Lady ni słowa; — prawą tylko dłoń chowa,
U nóg męża w łzach tonie rzęsistych.

W górach blizko Melrozu, w mrocznéj głębi wąwozu,
Jest Mnich wieczném związany milczeniem;
Jest w Drajburgu, w tajemnym, ciemnym lochu podziemnym,
Mniszka drżąca przed słońca promieniem.

Ten pustelnik ponury, jak milczące w krąg góry,
Ta jak noc, pokutnica posępna:
To jest Baron Smajlhomu, mściciel krzywdy i sromu —
To jest jego małżonka występna.

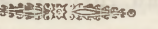

ZAMEK KADYOW.

Ballada

z Waltera Skotta.

Poświęcona przez Autora

Pannie Hamilton.

Gdy Hamiltonów możne pradziady,
Żyły panując na Kadyowie;
Brzmiały na zamku głośne biesiady,
Szli na wyścigi głośni Bardowie.

W dziedzińcach jego grzmiały gonitwy,
Rycerska młodzież biegła z około;
Po salach jego, zwycięzców z bitwy
Wabiła w taniec piękność wesoła.

Dziś Kadyowu gmach w gruzach leży,
Grobowy pomnik dawnego stanu;
Wiatr tylko szumi w ruinach wieży,
I szemrze spodem fala Ewanu.

Ty jednak każesz, o jego dawnych
Dniach wspaniałości, uczt i wesela,
O jego panach wielkich i sławnych,
Śpiéwać dawnego tonem Minstrela.

Bo dusza twoja lubi na chwilę
Wzgardzić światowym zgiełkiem i pychą,
I na przeszłości świętéj mogile
Dumać, i ze czcią łzę wylać cichą.

A więc, dziewico, niech się tak stanie!
Wzrok twój zapałem wieszcza przenika;
Na twoich brzegach, kręty Ewanie,
Przeszłość powraca, obecność znika.

Patrz! kędy gruzów zwalone stosy,
Przed chwilą trawa i mech krył szary,

Ostrza się wieżyc wznoszą w niebiosy,
Na nich herbowne wieją sztandary.

Patrz! gdzie skaliste rzeki nadbrzeże
Piętrząc się dziko, cień ściele bury,
Powstają rzędem baszty i wieże,
I czarnym pasem ciągną się mury!—

Noc jest— w przejrzystych rzeki kryształach,
Drży postać zamku, tło ich mrocząca;
Strażnicze ognie płonąc po wałach,
Rumienią bladą jasność miesiąca.

Miesiąc zachodzi, zorze się płoni,
Wszystko się w zamku rusza i budzi;
Słychać w dziedzińcach parskanie koni,
Skomlenie psiarni i gwary ludzi.

Padł most zwodowy — brzęczą łańcuchy,
Brzmią głucho deski— tłoczy się zgraja;
A każdy jeździec pełen otuchy,
Bodźcem rumaka zapał podwaja.

Przede wszystkiemi sam wódz na przedzie,
W myśliwskim stroju hasa na koniu:
A koń na którym Hamilton jedzie,
Wiatry wyścigać umié po błoniu.

Sarna się kryje w najgęstsze łomy,
Jeleń w najdalsze ucieka bory,
Bo już straszliwy, głos im znajomy,
Głos trąb napełnił lasy i góry.

Lecz cóż to? słyszysz! wzdłuż rzeki brzega,
W gęstwinie dębów wiekami żywych,
Trzask drzew i głuchy ryk się rozlega,
Głośniéj od wrzasku rogów myśliwych.

Najpotężniejszy z mocarzów lasu,
Czarno-brodaty żubr Kaledonu [1]),
Wypadł jak piorun, śród psów hałasu,
Pędzi gdzie stoi wódz Hamiltonu.

Chyląc ku ziemi czoło straszliwe,
Krwią zaszłe oczy ciska na wrogów,

Ryczy, i jeżąc rozlotłą grzywę,
Szarpie darninę ostrzem swych rogów.

Dobrze wymierzył wódz niezmieszany,
Śród piersi byka grot utkwił cały;
Runął, krwawemi rzygając piany,
A trąby w koło tryumf zagrały.

Już jest południe:— pod gęstym dębem,
Myśliwy orszak skrył się przed spieką;
Dym między drzewa wije się kłębem,
W lesie im ucztę warzą i pieką.

Z dumą wódz patrzał, leżąc na ziemi,
Na orszak krewnych, na stosy plonów;
Czemuż nie widzi razem z drugiémi,
Najmężniejszego z krwi Hamiltonów?

«Gdzie jest, rzekł, Bottwell nasz z Bottwellawy,
Piérwszy na naszych ucztach i łowach?
Czemu nie dzieli naszéj zabawy,
Naszéj biesiady w lesnych dąbrowach?"—

Ponurym głosem rzekł Klaud z Paslei:
«Minęły czasy jego wesela!
Nigdy za stołem, nigdy śród knici
Nie zobaczymy więcéj Bottwella.

«Kilka dni temu, jego spokojny
Zamek brzmiał echem szczeréj radości,
Gdy do swych ognisk wróciwszy z wojny,
Częstował ucztą krewnych i gości.

«Kilka dni temu, piękna i tkliwa,
Marya jego, w dni swoich kwiecie,
Szczęśliwa żona, matka szczęśliwa,
Swe pierworodne karmiła dziecię.

«Lecz nagle rozkaz Murraja wroga, *)
Z ogniem i mieczem nasłał żołnierzy;
Na dachy jego spadła pożoga,
Zastęp obrońców pod gruzem leży.

«A jego żona!— szydząc z jéj jęku,
I urągając z krzywdy i sromu,

*) Ob. Przypisek na końcu.

W nocy, w pół nagą, z dzieckiem na ręku,
Z przywłaszczonego wypchnęli domu!

«Cień jéj dziś tylko, w mglistych obsłonach,
Gdzie fala Esku szumi przez gaje,
Pędzony wiatrem, z dzieckiem w ramionach,
Co noc bolesne jęki wydaje.

«Widzą go ludzie, słyszą rozpacze,
Jak woła imię swego Bottwella,
Jak nad umarłém dzieckiem swém płacze,
I żąda pomsty z nieprzyjaciela."—

Skończył— struchleli żalem i gniewem,
Jeden krzyk zemsty zatrząsł dąbrową;
Skoczył Hamilton wsparty pod drzewem,
I mieczem z pochwy błysnął nad głową....

Wtém zatętniało pole kopyty—
Ktoś prosto ku nim pędzi przez błonia;
A w ręku jego sztylet dobyty,
Zamiast ostrogi bodzie nim konia.

Twarz jego blada, włos rozczochrany,
Wzrok słupem na przód patrzy bez celu;
Jeździec i rumak krwią obryzgany—
«To on! to Bottwell!— witaj Bottwella!"—

Wołają, biegną, trzymają strzemie—
On z gorączkowym w twarzy zapałem,
Zskoczył, i z wzgardą rzucił na ziemię,
Muszkiet dymiący świeżym wystrzałem.

I rzekł ponuro:— «Wiém, że wam miło
Myśliwskie trąby brzmiały dziś z rana;
Lecz miléj stokroć mnie słyszeć było,
Ostatnie jęki wroga, tyrana!

«Żubr co go wasze zwaliły strzały,
Z dumą dziś jeszcze deptał po puszczy;
Lecz dumniéj stokroć Murraj zuchwały,
Jechał na czele dwornéj swéj tłuszczy.

«Przez Linlitgowu kręte ulice,
Tłum go zebrany wiódł z okrzykami;

Z okien i z ganków, ręce kobiéce
Przed nim i za nim siały kwiatami.

«Wracał zalawszy krwią Pogranicze,
Jarzmo swéj władzy narzucił klanom;
I upojone dumą oblicze,
Ku swym przybocznym zwracał dworzanom.

«Lecz co mi znaczy wroga potęga?
Co mi straż jego, orszak i pycha?
Gdy wiém, jak z dala muszkiet mój sięga,
Gdy w sercu mojém zemsta oddycha!

«Ja i mój muszkiet weszliśmy w radę.
Obrałem miejsce w ciemnéj ustroni;
Ztamtąd widziałem całą gromadę,
Całą tę ciżbę ludzi i koni.

«Morton zausznik, dzid Szkockich borem [2]),
Z konnicą drogę torował Panu;
W tyle, z dobytym w ręku klajmorem,
Szedł gęstym szykiem klan Makferlanu.

«Po bokach Duglas, i Lord z Glenkerny,
I Knox się swoją świętością puszył [3]);
I dziki Lindsay, zdrajca niewierny,
Co się Królowéj płaczem nie wzruszył [4]).

«Między tym dworzan i wojsk natłokiem,
Z pod piór Murraja hełm złoty błyskał;
Koń jego ledwo stąpić mógł krokiem,
Tak w koło niego lud się naciskał.

«On skinał czołem, i wzrok ponury,
Z pod brwi nawisłych, wodził po tłumie;
I swą buławę podniósł do góry,
Jakby wskazywał, że dzierżeć umie.

«Lecz było w twarzy zwątpienie ducha,
Próżno chciał udać uśmiech wesela;
Zły duch znać jemu szeptał do ucha:
'Skrzywdziłeś, bój się zemsty Bottwella!'

«Zagrzmiał mój muszkiet— krzyknęła zgraja,
Wśpiął się do góry rumak xiążęcy;

Chyli się na bok pióro Murraja —
Runął o ziemię, by nie wstać więcéj.

«Jak kochankowi, gdy wzajemności
Słowo z ust lubéj posłyszy przecię;
Jak myśliwemu, szarpiąc wnętrzności
Wilka, co niegdyś pożarł mu dziécię:

«Tak, i sto razy miléj mi było,
Widzieć, jak zdrajca w prochu się tarzał;
Słyszeć, gdy życie z krwią uchodziło,
Jak próżno nędznik jęki powtarzał.

«Ujrzałem mojéj Maryi ducha,
Cieszył się z śmierci nieprzyjaciela;
Konającemu szeptał do ucha:
'Czujesz, morderco, zemstę Bottwella?!'....

«A więc do broni, krwi Hamiltona!
Wszystkim jak krzywda, zemsta nam wspólna;
Dziś czas rozwinąć wojny znamiona —
Murraj zabity, Szkocya wolna!" —

Wszyscy z zapałem rwą się do broni,
Brzmi trąb odgłosem puszcza okolna:

«Chwała Bottwellu, chwała twéj dłoni!
Murraj zabity, Szkocya wolna!...."

Lecz patrz! zniknęło Barda widzenie,
Ucichł mu w uszach okrzyk wojenny;
Ewanu tylko słychać mruczenie,
I po ruinach wiatr dmie jesienny.

Runęły wieże, spadły sztandary,
Chwast na ich miejscu powiewa znowu;
I znów jak przedtém mech okrył szary
Leżący w gruzach gmach Kadyowu.

I pieśń Minstrela znikła gdzieś z echem,
Wiatr tylko jęczy resztą jéj tonów;
A obok niego, z łzą i uśmiechem,
Stoi ostatnia z krwi Hamiltonów!...

Szczęśliwy śpiewak! czyja pieśń umie,
Wzbudzić łzę żalu, uśmiech wesela;
Szczęśliwa dusza! która rozumie,
Urok przeszłości, pieśni Minstrela!..

PRZYPISKI DO BALLADY ZAMEK KADYOW.

Zamek Kadyow, niegdyś baronialna stolica rodziny Hamiltonów, nad rzeką Ewan, w Szkocyi, zburzony został w wojnach domowych, za czasów Maryi Sztuart. Hamiltonowie byli najwierniejszymi stronnikami nieszczęśliwéj Królowéj, gdy naturalny jéj brat, Jakób Murraj, przemocą złożył ją z tronu, i uwięziwszy w zamku Loch-Lewen, do dobrowolnéj niby abdykacyi przymusił; po czém sam, pod tytułem Rejenta i opiekuna małoletniego jéj syna, Jakóba VI., władzę królewską w Szkocyi sprawował. Panowanie jego było ciągłém prześladowaniem stronników Maryi, którzy też ze swojéj strony, nie przestawali używać wszelkich sposobów przywrócenia jéj na tron. Śmierć Murraja, będącą przedmiotem niniejszéj ballady, w tych słowach opowiada historyk Szkocki, Robertson:

«Zabójcą Murraja był jeden z rodziny Hamiltonów, Bottwell z Bottwellawy, a to z następującego powodu. Po przegranéj bitwie stronników Maryi, pod Langside, Bott-

well, z wielu innymi, skazany był na śmierć, i lubo potém przebaczenie życia otrzymał, większa część dóbr jego oddaną została jednemu z dworzan Rejenta. Ten opanowawszy gwałtem zamek Bottwella, żonę jego, ledwo co po połogu będącą, nago, podczas zimnéj nocy, wraz z dzieckiem wypędzić kazał. Gwałtowne pomieszanie zmysłów i wkrótce śmierć jéj i dziecka, były skutkiem tego nieludzkiego postępku. Zniewaga i strata ulubionéj żony, połączona z dawną niechęcią, sprawiły, iż pałający zemstą Bottwell, śmierć Rejenta poprzysiągł. Barbarzyńskie maxymy owego wieku, usprawiedliwiały wszelkie najgorsze środki pomszczenia się nad nieprzyjacielem. Długo Bottwell śledził w skrytości obróty Rejenta, nim upatrzył sposobną porę wykonania zamiaru. Murraj poskromiwszy zbuntowane klany na Pograniczu Szkocyi, wracał do Edymburga, przez małe miasteczko, zwane Linlitgow. Tam Bottwell czekać go przedsięwziął. Uzbroiwszy się w muszkiet, obrał sobie stanowisko na krytym krużganku, mającym okna na ulicę, w domu jednego z rodziny Hamiltonów, stryja swojego; podłogę okrył pierzynami, aby kroków słychać nie było; ściany zawiesił suknem czarném, aby cieniu jego nie dójrzeć; i po tych wszystkich ostrożnościach, spokojnie oczekiwał przejazdu Rejenta, który w niedalekim domu nocował. Doszły były Murraja wieści i ostrzeżenia o jakiémś grożącém mu niebezpieczeństwie, choć o niém nikt z pewnością nie wiedział. Postanowił więc był z rana, nie przejeżdżać przez miasto główną ulicą, lecz wrócić do téj samej bramy, przez którą był wczoraj przyjechał, i miasto polem ominąć. Ale że wielki tłum ludu, przed domem

jego zebrany, zagradzał mu tę drogę; a raczéj, że był mężny i śmiały z natury; udał się ulicą przez miasto. Tenże sam natłok ludu, co mu wstecz jechać nie dopuścił, był przyczyną, że koń jego musiał iść bardzo powoli. Korzystając z tego zabójca, wziął go tak dobrze na cel, iż kula przeszła przez sam środek piersi, i zabiła konia pod Duglasem z Parkhedy, jadącym obok Rejenta. Murraj upadł; dworzanie jego i straż wpadli do domu, zkąd wystrzał pochodził, lecz nim zdołali przebyć zaryglowaną bramę i wszystkie drzwi domu, Bottwell wymknąwszy się tajemném przejściem, dosiadł przygotowanego już konia, i bodąc go sztyletem zamiast ostrogi, uszedł przed ich pogonią; wpadł do zamku Radyowu, gdzie mieszkał naczelnik rodziny i klanu Hamiltonów, i tam jak zbawca Szkocyi, w tryumfie przyjętym został. Prześladowanie przez Murraja nieszczęśliwéj Królowéj, Maryi Sztuart, i jéj stronników; okropność krzywdy wyrządzonéj Bottwellowi, a nadewszystko stronnicza nienawiść i obyczaje owego wieku, usprawiedliwiły w ich oczach popełnione zabójstwo. Stało się to w r. 1596.

1) Żubr, nieznajdujący się już nigdzie w Europie, oprócz jednej Białowieżskiéj puszczy w Litwie, częstym niegdyś był źwierzem w Szkocyi, i tém różnił się od Litewskiego Żubra, że był całkiem biały, prócz brody, pyska i rogów czarnych, i miał długą grzywę do lwiéj podobną.

2) Morton, jeden z zabójców Dawida Rizzio, którego z rozkazu piérwszego męża Maryi Sztuart, w oczach jéj zamordowano.

3) Knox, pierwszy krzewiciel Reformy w Szkocyi, któréj sam Rejent był najgorliwszym stronnikiem.

4) Lindsaj, najdzikszy i najokrutniejszy z fakcyi Rejenta, użyty przez niego do wymuszenia na uwięzionéj Królowéj zrzeczenia się tronu, wykonał to polecenie z największą surowością i grubijaństwem; i gdy nieszczęśliwa Marya, zalana łzami, w chwili podpisania abdykacyi, odwróciła na chwilę oczy, przymusił ją do kończenia, ściskając gwałtownie jéj rękę rękawicą żelazną.

RÓŻA.

Powieść
z Southey'a.

I.

Witaj mi córo wiosny! kwiatów jéj królowo!
Strojna krasą jutrzenki, czy bielą śniegową,
Równieś miła poety i sercu i oku!
Niechby inne powaby wziąwszy czas zazdrośny,
Ciebie tylko zostawił zdobić berło wiosny:
Jeszczeby wiosna warta zwać się *Różą roku!*

II.

Miło jest, pod rozkwitłym spoczywając krzewem,
Gdy w koło chłodném skrzydłem lekki wiatr powiewa,

Słuchać, jak w pół zieloném osłoniony drzewem,
Słodką ci, jak twe wonie, słowik piosnkę śpiéwa!
Chwała tym, co go tobie za kochanka dali!
Sam słowik chyba godnie wdzięk róży pochwali.

III.

Zbiegają się dziewice z koszykami w ręku,
Napawać się jéj wonią, napatrzyć się wdzięku.
Pójdźcie do mnie dziewice!— Po co ten rumieniec?—
Niech mi każda przyrzecze krasny upleść wieniec,
Lub dać kwiatek od piersi; ja wam na podziękę,
Albijońskiego Barda powtórzę piosenkę,
A w niéj powieść o róży;— jak niezwykłym cudem,
Po raz piérwszy na ziemi, przed zdumionym ludem,
Płoniące się ku słońcu rozwinęła krasy.—
Bard ten biegły w podaniach, znał dawniejsze czasy,
Znał dawniejsze przygody, wiele ziem przebywał,
W nich usłyszał tę piosnkę, i kochance śpiéwał.

IV.

Żyła w Betleem, Izraelskiéj ziemi,
Dziewica sławna wdzięki anielskiemi,
Zillah ją zwano: a Judea cała,
Chwałą cnót Zillah i piękności brzmiała.
Głos chwały nęci, ciekawość zapala;
Liczni młodzieńcy zbiegali się zdala.
Cnota cześć wraża, miłość niecą wdzięki;
Liczni młodzieńcy pragnęli jéj ręki.
Biédni młodzieńcy! daremnie, daremnie!
Zillah was kochać nie może wzajemnie.
Zillah z cnót tylko szukająca chluby,
Bogu dziewicze poprzysięgła śluby.—
Poszli młodzieńcy, a w ciężkiéj tęsknocie,
Płacząc na srogość, dziwili się cnocie.

V.

Przyszedł z innymi Hamuel bogaty,
Miał mnogie skarby, miał kosztowne szaty,

Pragnął mieć Zillah. Daremnie, daremnie!
Zillah go kochać nie może wzajemnie.
Srogość na twarzy, ponurość w źrenicy,
Trwożyły serce nieśmiałéj dziewicy.
Nie próżna trwoga, przeczucia to wieszcze;
Wzrok on miał dziki, duszę dzikszą jeszcze.
I wnet rojona popchnęła go zawiść,
Z miłości w rozpacz, z rozpaczy w nienawiść.

VI.

Czemuż, niestety! obrażony w dumie,
Człowiek się w zemście powściągnąć nie umie?
Hamuel zemstę poprzysiągł zbrodniczą.
Oczernił Zillah i chwałę dziewiczą.—
O! biada temu, kto potwarze szerzy!
O! hańba temu, kto potwarcom wierzy!
Wierzono jednak: a Judea cała,
Czczonéj wprzód Zillah obelgami brzmiała.—
Hamuel możny, sam w znacznym urzędzie,
Zakupił świadki, pouwodził sędzie,
A ci przedajni, skazali niegodnie,
Wzór niewinności, na karę za zbrodnie.

VII.

Był plac pod miastem, naprzeciw kościoła,
Żelazną kratą ogrodzon do koła,
Plac pełen zgrozy; gdzie przestępne głowy,
Sprawiedliwości karał miecz surowy.
Tam, jak się zdało, od ludzi i Boga
Wzgardzoną Zillah, śmierć czekała sroga.
Już w koło słupa stos złożono suchy,
Już na tym stosie, twardemi łańcuchy
Niewinną Zillah przykuto do pala.
Już kat śmiertelną pochodnię zapala.
Ona spokojna — jakby ją wnet mieli
Na złotych skrzydłach w niebo wznieść Anieli,
W skromném milczeniu do koła powłoczy
Świtem już nieba śmiejące się oczy.
Widząc ten pokój, widząc blask spójrzenia,
Lud przestał wierzyć w prawdę obwinienia.

VIII.

Z innem uczuciem Hamuel stał blisko.
Zemsta go wiodła na to widowisko.

Nie długi tryumf!— bo wnet rozpacz wściekła,
Bo wnet zgryzota, poprzedniczka piekła,
W mściwe się cisnąć zaczynały serce.
Oczy dziewicy padły na oszczercę.
Wzrok był łagodny: a jednak się zdało,
Że piorunową przeraził go strzałą.
Wzrok był łagodny:— cóż w nim trwogę budzi?
O ty Aniele Stróżu w sercach ludzi!
Sumienie!... twoja to święta powinność,
W chwilach cierpienia, pokrzepiać niewinność,
W chwilach tryumfu, bydź mścicielem zbrodni!

IX.

Przebóg! przy stosie błysnął blask pochodni!
Lud bieży ku niéj.— Ach! stójcie szaleni!
Przygaście pożar rosnących płomieni,
Zbawcie niewinność!— Próżno! nikt nie słucha.
Wznoszą się ognie, dym kłębami bucha.
Ach! ty sam chyba sprawiedliwy Boże!
Twoja dłoń tylko ratować ją może!...
On płacz dziewicy usłyszał z wysoka,
Ujrzał niewinność; tchnął, i w mgnieniu oka,

Przed Jego tchnieniem płomień się uniża;
I jak pioruna błyskawica chyża,
Jak wąż ognisty od stosu odstrzela,
Na głowy sędziów i oskarżyciela.—

Zamilkła strachem przerażona rzesza...
Lecz cóż znów ciszę uroczystą miesza?
Wzniosły się w niebo okrzyki radości:
«Cześć Wszechmocnemu! chwała niewinności!»—
Jakiż cud nowy!— Stos się w krzew zamienił,
Pękły okowy, słup się rozzielenił,
I w kształcie wieńca, nad dziewicy czołem,
Dwubarwne róże zakwitnęły społem.

Tak to raz piérwszy, po straconym Raju,
Róża w śmiertelnym zakwitnęła kraju;
Kraśna jak skromność, jak niewinność biała,
Niebieskie wonie w powietrzu rozlała.

1825 r.

PRZYPISEK AUTORA.

«Między miastem a kościołem w Betleem, jest pole nazwane *Campus Floridus*, pole kwitnące, a to z następującego powodu. Piękna dziewica, oskarżona niewinnie o przestępstwo, skazaną została na spalenie żywcem w tém miejscu; i kiedy już stos podpalać zaczęto, ona wzniósłszy oczu ku niebu, błagała Boga, aby, jako świadomy jéj niewinności, wybawić ją raczył od tak srogiéj a niezasłużonéj kary; to rzekłszy, na stos pałający spokojnie wstąpiła. Lecz w mgnieniu oka zagasły płomienie, rozzieleniły się na wpół spalone głównie, a na nich zakwitły róże czerwone i białe: były to piérwsze, które widziano na ziemi. A tak niewinna dziewica za łaską Boga uwolnioną została.»

The voyage and Travels
of Sir John Maundeville.

BAŚŃ

O UŚPIONEJ KRÓLEWNIE I O NAJŚMIELSZYM KRÓLEWICU.

z Żukowskiego.

Był sobie Król i Królowa.
On zdrów, młody — ona zdrowa;
Przecież rok, drugi i trzeci,
Jak nié ma, tak nié ma dzieci.
Król w myślach smutkiem się trawi,
Komu swe berło zostawi;
Królowa także się troska.
Lecz cóż? taka wola Boska!
Dręczyli się, umęczyli,
W końcu się uspokoili.

Aż Królowa raz wieczorem,
Poszła dumać nad jeziorem,
Dumać zawsze o tém jedném,
O sierocém życiu biedném,
I przez jakąby ofiarę,
Odwrócić tę Niebios karę.
Idzie, duma — aż z jeziora,
Płynie wielki rak — potwora,
Z wąsem jak som, a w kirysie,
Jakby jaki rycerz lśni się:
I kiwnąwszy zlekka głową,
Tak się ozwie: «O Królowo!
«Dobre tobie niosę wieści:
«Koniec troskom i boleści!
«W trzy ćwierć roku od téj pory,
«Będziesz matką pięknéj córy.” —
— «Ach! ty raku mój nad raki!
«Zkądże tobie rozum taki,
«Byś mógł wiedzieć, co się stanie?” —
Rak jéj na to zapytanie
Nic nie odrzekł, lecz się zwinął,
Plusnął w wodę, i gdzieś zginął.

Snem Królowéj to się zdało;
Lecz jak mówił, tak się stało.
W trzy ćwierć roku od téj pory,
Była matką pięknéj córy,
A tak pięknéj, chociaż małéj,
Że jéj równéj, na świat cały,
Ludzkie oczy nie widziały.

Król niezmiernie rad z dzieciny,
Sprosił cały kraj na chrzciny,
A nasamprzód, państwa stróżek,
Jedénaście możnych Wróżek.
Byłać wprawdzie i dwunasta,
Ale stara, zła niewiasta;
Téj nie prosił;— nie dla tego,
Że stara i nic dobrego;—
Lecz był powód.—

W dworskich składach,
Po królewskich pra-pradziadach,
Był, osobliwszéj roboty,
Serwis cały szczerozłoty,

Jak raz na dwanaście osób.
Król bez niego w żaden sposób
Nie chciał nigdy dać obiadu.—
Aż tu kłopot!— Czy ze składu,
Czy z kredensu, dość że skrycie
Ktoś dwunaste skradł nakrycie;
Lecz kto? lecz jak? gdzie i kiedy?
Ani śladu!— Król więc tedy
Rada w radę z swym Marszałkiem;
I wolał nie prosić całkiem,
Téj dwunastéj Wróżki staréj,
Niż dać serwis nie do pary.

Baba co nie pękła z złości.—
A tymczasem tłumy gości,
Co na bal proszeni byli,
Zebrali się, jedli, pili,
I nakoniec, jak w tym kraju
Było z dawna w obyczaju,
Czy kto krewny czy nie krewny,
Niósł podarki dla Królewny.
A po krewnych, i za drużbą,

Przyszły Wróżki z dobrą wróżbą,
I przez rymy, przez zaklęcia,
Zarzekały los dziecięcia:
«Będziesz cudem tego świata,
«Będziesz można i bogata,
«Będziesz cudna jasnolica,
«Znajdziesz męża Królewica,
«Będziesz wiek wesoło trawić,
«Lud cię będzie błogosławić,
«Będziesz miła, będziesz tkliwa,
«Będziesz dobra i szczęśliwa!"—
Takie, w koléj od dziesięciu
Wróżek, wróżby szły dziecięciu.
Jedénasta z wróżbą nową,
Idzie także:— lecz nim słowo
Wyrzec mogła:— sen czy mara?
Jedną razą, Wróżka stara
Zjawiła się przy kołebce,
I już rym swych zaklęć szepce:
«Mnie na ucztę nie proszono,
«Nie karmiono, nie pojono,
«A jać dar mój niosę przecie.

«Krótko tobie na tym świecie,
«Królewiątko! żyć radośnie.
«W siedémnastéj twojéj wiośnie,
«Zaraniwszy dłoń wrzecionem,
«Zaśniesz na śmierć wiecznym zgonem."—
To wyrzekła, w dłoń klasnęła,
Zaśmiała się i zniknęła.—
Lecz jak zmienić groźby wieszeze?—
Szczęściem Wróżka, która jeszcze
Nie darzyła niemowlęcia,
Tak skończyła rym zaklęcia:
«Kłamiesz! to się tak nie stanie!
«Będzie to sen, nie skonanie.
«Sen ten będzie trwał lat dwieście,
«Lecz nie wiecznie;— aż nareście,
«Zjawi się najśmielszy z ludzi,
«Co ją znajdzie i obudzi.
«Z nim, i z Królem, i z Królową,
«Odrodzi się jak na nowo;
«Będzie widzieć wnuków wnuki,
«I dopóty żyć, dopóki
«Sama zechce."—

To skończywszy,
Królowi się pokłoniwszy,
Wróżki poszły.— Król w rozpaczy,
Różnie słowa ich tłumaczy,
Wzdycha, płacze, mizernieje.
I cóż za dziw? nie śpi, nie jé,
Myśl złą wróżbą wściąż zajęta;
O dobrych ani pamięta,
A choć wspomni, to nie wierzy.
Myśli wściąż, jak zapobieży
Téj u niego jednéj pewnéj,
Co wróży śmierć dla Królewny.
Aż ktoś z dworzan tak doradza:
«Królu, Panie! twoja władza!
«Zakaż w kraju lnu i przędzy,
«I drwij z przeklęstw staréj jędzy.”—
W myśl Królowi poszła rada.
Więc nie tracąc chwili, siada,
I do swojéj Rady Tajnéj,
Pisze ukaz nadzwyczajny.
«Ja Król, Pan wasz, chcę i każę:
«By w całym państw mych obszarze,

«Nikt — ni szlachta, ani chłopi,
«Nie sieli lnu ni konopi;
«A kto będzie siał, ten zwije
«Sam z nich stryczek na swą szyję.
«Zabrania się też prząść nici,
«I zaleca się policij,
«Przez wszelkie jakiebądź środki,
«Zniszczyć wszystkie kołowrotki,
«A nadewszystko wrzeciona.—
«Wola moja niecofniona,
«Kto ją słyszy, niech wykona!"—
Po wydaniu téj ustawy,
Król zbył troski i obawy,
I znów jadł, pił, żył radośnie.
A tymczasem córka rośnie,
Rośnie — matki już dorasta,
I już wiosna siedémnasta.—
Cóż się stanie z wróżbą ową?

Dnia jednego, Król z Królową,
Gdzieś w gościnę, na czas pewny,
Pojechali bez Królewny.

Smutno było to Królewnie.
Napłakawszy się więc rzewnie,
Co tu począć? myśli sobie.
Nudno! — «Aha! wiém co zrobię.
«Co mam w domu jedna siedzieć?
«Pójdę — rzekła — pałac zwiedzić!"—
Jakoż poszła.— Ochmistrzyni,
Kilka Frejlin idzie przy niéj.
Idą naprzód do tronowéj,
Od tronowéj do balowéj,
Z tamtéj znów do innéj sali;
I tak coraz daléj, daléj,
Przyszły wreście do narożnéj,
Do okrągłéj wieży próżnéj,
Gdzie jak zamek zamkiem, pewno
Nie był nigdy nikt z Królewną.
W środku tam nic szczególnego;
Mur z kamienia ciosowego,
Kręte wschody, tuż przy murze,
Wiodą w górę; a na górze,
Widać drzwiczki do ganeczka.
Królewiątko, jak sarneczka,

Skik, skik, w górę — wbiegła sama.
Ochmistrzyni wielka dama,
Leźć po wschodach nie tak rada.
Frejlinom też nie wypada
Iść wprzód, zwłaszcza kiedy gniewna.
Więc zostały;— a Królewna,
Już tymczasem na wierzchołku.
Wbiega, patrzy — aż na stołku,
U nizkiego okieneczka,
Siedzi sobie staruszeczka,
Niziuteńka, siwiuteńka,
Jak gołąbek;— prawa ręka
Na powietrzu, palce w ruchu,
I coś kręci na fartuchu.
Co takiego?— kawał drewna
Nakształt strzalki!— Więc Królewna,
Cicho, cicho, choć w obawie,
Przykrada się — i ciekawie
Patrzy, co to za narzędzie?
A staruszka kądziel przędzie.
I to liźnie lewą rękę,
To coś mruczy jak piosenkę.

«Wrzecioneczko, wij się, wij się,
«Kądziałeczko, nie tak rwij się!
«Praca nasza nie igraszka,
«Wiążem sidło, złowim ptaszka."—
A Królewna z udygnieniem
Spyta jéj:— «Za pozwoleniem,
«Co to robisz, proszę?"— «Przędę."—
—«Naucz-że mnie, i ja będę!"—
I już ręką wyciągnioną
Sięga nici:— wtém wrzeciono,
Ach!— ukłóło;— krew z paluszka
Wytrysnęła— a zła Wróżka,
Zaśmiała się w głos i znikła.—
A w Królewnie mdłość niezwykła
Rozlewa się, wzrok się klei,
I usnęła.— Tuż z kolei,
Sen ogarnął Ochmistrzynię,
I Frejlinę po Frejlinie;
I co żyło w całym dworze,
Wpadło w letarg.—
W tejże porze
Król powraca.— Co to znaczy?

Ni doboszów, ni trębaczy,
By go witać za powrotem?
Cały odwacht śpi pokotem.
Straż przy bramie, choć stojąca,
Ale pjana, czy drzemiąca,
Z zwisłą głową i rękoma,
Stoi martwa, nieruchoma.
Co to znaczy? — Król się gniewa,
Chce coś fuknąć — a wtém ziewa,
Ziewa, ziewa — i w pół słowa
Zasnął mówiąc. — I Królowa,
I jéj Dama honorowa,
I Szambelan z całą świtą,
Nawet laufer przed karétą,
Z podniesioną jak biegł nogą:
I woźnica z miną srogą,
Z zamachniętym biczem w dłoni,
I forysie, i sześć koni,
Jak jechali, tak w pół placu
I zasnęli. — I w pałacu,
Jak kto gdzie stał, tak śpi: — straże,
Prezentując broń; kucharze,

Kręcąc rożen;— nawet płomię,
Choć nie zgasło, nieruchomie
Stoi w górę:— i u góry,
Dym jak buchał, tak w kłąb bury
Zwił się, i śpi:— nad kominy,
Sterczące tylko jak słup siny.
A jak pałac, tak z nim cała
Okolica zadrzemała,
I powoli, czas za czasem,
Pokryła się gęstym lasem,
Czarnym borem;— a do boru,
Ani śladu, ani toru,
Ni przystępu, ani zbliska!
Wszędzie głogi a bagniska.
Żaden wiatr tam nie dowiewa,
Nie zaszumią nigdy drzewa;
Żaden ptaszek nie zapiśnie,
Żaden żwierz się nie przeciśnie;
Nawet chmura kiedy płynie,
To go zawsze bokiem minie;
Nawet słońca jasność słodka,
Nić ma kędy wejść do środka,

Tak jest gęstą mgłą objęty.—
Słowem, był to bór zaklęty.

A tymczasem, jak dzień po dniu,
Tak szedł tydzień po tygodniu,
Tak szedł miesiąc po miesiącu,
Rok po roku;— aż i w końcu
Sto lat przeszło.— Z razu ludzie
Rozprawiali o tym cudzie,
Potém coraz mniéj wierzyli,
Potém całkiem zaprzeczyli.
Została się wieść niepewna,
Że w tym borze śpi Królewna,
I że kto najśmielszy z ludzi,
Ten ją znajdzie i rozbudzi.

Z razu było dość młodzieży,
Z Xiążąt, Grafów i Rycerzy,
Co przed laty, jak wieść niesie,
Szli probować szczęścia w lesie.
Ale jedni pełni trwogi,
Powrócili od pół drogi,

To nie mogąc znaleźć toru,
To nie śmiejąc wejść do boru.
Było jednak i tych wiele,
Co przez głogi i topiele
Przedarli się w las; lecz z lasu
Nikt nie wrócił.— Czas od czasu,
Coraz to mniéj, coraz rzadziéj
Było takich, coby radzi,
Dla niepewnéj tam Królewny,
Narażać się na zgon pewny.
W końcu nié ma i nikogo.

A czas zawsze swoją drogą
Jak szedł, tak szedł;— aż nareście
Upłynęło i lat dwieście.
Czasby ocknąć się Królewnie.
Już jéj o tém śni się pewnie.
Lecz będzież tak śmiały z ludzi,
Że ją znajdzie i obudzi?—
Nie potrzeba o to bać się,
Co ma stać się, musi stać się.
Posłuchajcie!

Dnia jednego,
Wiosennego, wesołego,
Syn Królewski — (Król już nowy
Był w tym kraju) — lubiąc łowy,
Z wielką psiarnią, z wielkim dworem,
Przyjechał tam, i wieczorem
Jakoś zbłądził. — Jedzie, jedzie,
Przez noc całą; aż na przedzie,
Widzi — czarną mgłą o'ryta
Stoi puszcza nieprzebyta.
Nigdzie drogi, nigdzie toru,
Ni przystępu. — Więc wzdłuż boru,
Jedzie, jedzie — aż spotyka,
Staruszeczka, Pustelnika.
Więc go wita, więc go pyta,
Co za puszcza nieprzebyta? —
A staruszek wstrząsłszy głową,
Zaczyna mu słowo w słowo,
Opowiadać, co sam pewnie
Wié od starszych: o Królewnie,
Co w królewskim wielkim dworze,
Śpi zaklęta w owym borze:

Śpi lat dwieście, i śpiąc czeka,
Na kochanka, na człowieka,
Co najśmielszy będzie z ludzi,
Co ją znajdzie i rozbudzi.
Opowiadał potém daléj,
Jak już byli tak zuchwali,
Co jéj szukać probowali:
Lecz jak jedni wejść nie śmieli,
A co weszli w las — zginęli.

A Królewie słucha, słucha —
Był to młodzian pełen ducha,
Pełen serca.— Jednym razem
Wstrząsł się cały, i żelazem
Jak nie zepnie swego konia:
A koń wichrem wprost przez błonia,
Jak nie skoczy:— w oka mgnieniu
Wpadł do boru, i w drzew cieniu
Znikuął z jeźdzcem.—
Cóż tam w borze?
Dziwy dziwów! cuda Boże!
Raj nie gaj, nie puszcza dzika,

Oczom jeźdźca się odmyka.
Zamiast głogów — róż ogrody,
Zamiast bagnisk — żywe wody
Połyskują, szumią, brzęczą;
Rój motylów jasną tęczą,
Leci nad nim; ptaszki zgrają,
Lecą przed nim, a śpiéwają.
Kwiaty pachną:— wszędzie wonność,
Wszędzie jasność, a zieloność!
A koń leci, ani staje;
A przed koniem, same gaje
Rozchodzą się, czynią drogę;
A Królewic nie już trwogę,
Ale taką czuje radość,
Że i w niebie jéjby zadość!
A tymczasem konia bodzie,
Leci, leci:— aż na przodzie,
Widzi pałac — cud struktury!
Z alabastru białe mury,
Dach się błyszczy jak ze złota,
Wrota na ścież — więc we wrota,
Pędzi prosto do pałacu.

Wjechał na plac:— aż na placu,
Tłumy ludzi w różnych strojach,
W złotogłowach, w jasnych zbrojach,
Stoją, siedzą, leżą— ale
Żaden się nie ruszy wcale,
I czy stoi, czy kto leży,
Śpi i chrapie jak należy.
A w śród placu, jakby wryta,
Stoi pyszna kocz-karéta,
Z herbem dworskim, sześcią koni.
Nasz Królewic zajrzał do niéj,
Lecz nie widząc, jak był pewny,
Młodéj, ładnéj— więc Królewny,
Wprost pod pałac gnał w zawody.
Przebył ganek, wbiegł na wschody.
Wszedł do sali— do tronowéj,
Ztamtąd prosto do balowéj,
Ztamtąd znów do innéj sali;
I tak coraz daléj, daléj,
Doszedł wreście do narożnéj,
Owéj wieży— już nie próżnéj—
Bo tam właśnie Ochmistrzyni,

I Frejliny obok przy niéj,
Przed wschodami śpią na ziemi.
Spójrzał bystro między niemi,
Czy nie znajdzie téj co szuka.
Lecz nie! serce nie oszuka,
A tu mówi, że jéj nié ma.
A więc rzucił w krąg oczyma.
Patrzy, widzi wschody kręte,
I u góry w pół przemknięte
Małe drzwiczki;— coś widocznie
Tam go ciągnie; lecz cóż pocznie?
Przejść nie sposób! Ochmistrzyni
Leży wzdłuż, Frejliny przy niéj,
Chyba deptać;— lecz doradził,
Krok w tył— skoczył— i przesadził.
Dopadł drzwiczek, popchnął, wbiega,
I postrzega— cóż postrzega?
O! radości!— «Tak! to pewna!
«To jest ona! to Królewna!"—
Tak, to ona!— bo gdzież w świecie
Taka druga?—

Jakby dziecie,
Spokojniutka, miła, cicha,
Drzemie zlekka: — pierś oddycha;
Usta drgają, jak śród krzewu
Listek róży od powiewu;
Po przez rzęsy jasność oczek,
Lśni jak gwiazdka przez obłoczek;
Włos w pierścieniach oblał szyję,
W twarzy róże a lilije.
Na wysmukły, cienki stanik,
Rzucon lekki półkaftanik,
Purpurowy, złotem tkany,
Gronostajem bramowany.
Z resztą w bieli, lekkiéj, mglistéj,
I w zasłonie w pół przejrzystéj.
W dole tylko, z pod fartuszka,
W koturniku drobna nóżka
Lśni się złotem.— Cudo dziewic!
Śpi jak Anioł!— A Królewic,
W zadumieniu, w zachwyceniu,
Cały w sercu a spójrzeniu,

Niewzruszony stał — i Ona
Spała przed nim niewzruszona.

Lecz jak przerwać sen zaklęty?—
Od miłości on natchniety,
Skoczył ku niéj, zgiął kolano,
Wlepił oczy w twarz rumianą.
Usta drgnęły jak uśmiechem,
Pierś jéj żywszym tchnie oddechem,
W licach zakwitł kwiat rumieńca,
Jakby czuła wzrok młodzieńca.
A młodzieniec! w uniesieniu,
W upojeniu, w omamieniu —
O! któżby się pohamował?—
Schylił się — i pocałował.

A wtém nagle izba cała
Blaskiem słońca zajaśniała.
I Królewna się ocuca.
Błędném okiem w koło rzuca,
I ujrzawszy Królewica,
Rumieni się i zachwyca.
A tymczasem, jak w pałacu,

Tak na ganku i na placu,
Jak kto gdzie spał, tak się budzi.
Znów gwar, hałas, ciżba ludzi.
Ochmistrzyni jeszcze ziewa,
Na Frejliny znów się gniewa;
Dobosz widząc że Król jedzie,
Bije werbel; a na przedzie,
Laufer jak stał bieży daléj.
Furman z kozła z bicza pali,
I zajeżdża.— Król, Królowa,
I jéj Dama honorowa,
I Szambelan z resztą świty,
I hajduki z za karéty,
Wysiadają, dłoń podają,
Króla we drzwi wprowadzają.
Straże bronie prezentują,
W kuchni znowu jeść gotują.
Kuchmistrz miechem w ogień dmucha,
Ogień trzaska, dym znów bucha.
Słowem wszystko się ruszyło,
Odrodziło się, ożyło,
A wszystko jak dawniéj było.

Prócz nowego tylko gościa,
Królewica Jegomościa,
Co z Królewną wraca z wieży.
Król naprzeciw jego bieży,
Królowa tuż idzie za nim,
Z jak najczulszém powitaniem.
A Królewic im rzecz całą
Opowiada, jak się stało.
Słysząc to Król i Królowa,
Ledwo mogli przyjść do słowa,
By mu wdzięczność swą objawić,
I z Królewną błogosławić.

Coż wam jeszcze mówić daléj?—
Kochankowie się pobrali.
Król znów sprosił gości wiele,
Sprawił ucztę a wesele,
Lusztyk, bal!— I ja tam byłem,
Miód i wino z gośćmi piłem.
A com od nich się dowiedział,
Tom wam jak mógł opowiedział.

BAŚŃ

O ZŁOTYM KOGUTKU.

z Puszkina.

W trzydziewiątém wschodniém państwie,
W trzydziesiątém gdzieś Sułtańskwie,
Żył był sobie Sułtan Dadom.
Straszny kłótnik! ni sąsiadom,
Ni poddanym, ni w swym domu,
Nigdy, nigdzie i nikomu,
Nie dał chwili żyć spokojnie.
Albo wojnę wiódł po wojnie,
Albo lud ciemiężył w kraju,
Lub w Dywanie i w Seraju,
Żartem, śmiechem, różną probą,
Kłócił, jątrzył między sobą

Odaliski, Muftych, Baszów,
Aż do pięści a pałaszów.
A najmilsza dlań zabawa,
Był szczęk, jęk, płacz, kłótni wrzawa.
Nigdzie ładu ni porządku!—
Jednak z czasem — czy z rozsądku,
Czy z lenistwa — dość że z wiekiem,
Sułtan cichszym stał się człekiem,
I nakoniec ku starości,
Sam zapragnął spokojności.

Aż tu kłopot! bo sąsiedzi,
Widząc że on cicho siedzi,
Nuż na niego! nuż wojować,
Napastować a rabować.
I wet za wet, żuk i żaby,
Deptać wroga, kiedy słaby.

A więc Sułtan by swe właści
Zabezpieczyć od napaści,
Musiał trzymać wojsk bez liku.
Wojsko ciągle w zbrojnym szyku

Dzień i noc pod bronią stało,
Lecz i to nie pomagało.
Bo naprzykład, wojsko w nocy
Strzeże granic od północy:
Aż tu goniec: «Marsz na prawo!
Wróg od wschodu!"— Wojsko żwawo
Daléj na wschód;— aż znów goniec:
«Marsz na zachód!"— Z końca w koniec
Wojsko ciągle tak biegało,
Aż mu w końcu nóg nie stało.

Krew ze złości wre w Sułtanie,
Aż się tarza po dywanie.
Nie śpi, nie jé, wychudł srodze.
Co po życiu w ciągłéj trwodze?
Więc rad nie rad, rady słucha,
Szle do mędrca, do Eunucha,
Do sławnego Astrologa,
By mu pomógł pobić wroga.

Astrolog się sam nie leni,
Przyszedł, stanął, i z kieszeni

Dobył złotego kogutka:
«Padyszachu! rada krótka!
«Każ przynieść żerdź, na téj żerdzi
«Ten kogutek się przytwierdzi.
«Żerdź każ zatknąć w środku placu,
«Przed oknami, przy pałacu.
«A będzie to stróż twój wierny,
«Twego państwa jak odźwierny.
«Póki pokój, mój kogutek
«Będzie siedział spokojniutek;
«Ale niechże zkądbądź kiedy
«Przyjdzie wojna: zaraz wtedy,
«Mój kogutek się strzepoce,
«Krzyknie, skrzydłem załopoce,
«I obróci się w tę stronę,
«Zkąd twe państwo zagrożone."—

Sułtan cieszy się, dziękuje,
Złote góry obiecuje.
A Astrolog Sułtanowi
Pokłonił się, i tak mówi:
«Padyszachu! mnie nie trzeba,

«Ani złota, ani chleba.
«Tylko łaski twéj źrenicy,
«I téj jednéj obietnicy,
«Że najpiérwszą prozbę moję,
«Spełnisz jakby wolę swoję."—
Sułtan przyrzekł — i spokojny,
Jadł, pił, przestał bać się wojny.

A kogutek na swéj tyce,
Strzegł stolicę i granice.
Póki pokój, póty cicho.
Lecz jak tylko jakie licho
Zagroziło z któréj strony:
Wnet kogutek jak szalony,
Obracał się, kręcił, miotał,
I trzepotał i łopotał;
A co wrzasku, a co krzyku!
«Kukuryku, kukuryku!"
Niéma rady! wszystkich głuszy,
Póki wojsko nie wyruszy,
Nie wyruszy w tamte strony,
Gdzie on dziobkiem obrócony

I znów potém cicho siedzi.—
Dowiedzieli się sąsiedzi,
I raz, drugi, w pień wycięci,
Poskromili chciwe chęci.

Rok i drugi, nié ma wojny!
Kogutek i kraj spokojny.
Sułtan nabrał sił i mocy.
Aż tu razem jednéj nocy
Słyszy— stuk, stuk, do pałacu.
«Co tam? kto tam?"— a na placu
Hałas, tertes!— wpada Basza:
«Padyszachu! zguba nasza!
«Ratuj! kogut krzyczy znowu!" —
Sułtan z łoża, z złotogłowu,
Chyc, wyskoczył, patrzy z ganku.
A kogutek bez ustanku
Trzepioce się, kręci, wije,
Na wschód zwrócił dziób i szyję.
«Kukuryku! kukuryku!"—
A więc na koń, i do szyku!
I najstarszy sam Sułtanic,

Poszedł z wojskiem bronić granic.
Kogutek się uspokoił,
Sułtan znowu pił i poił.

A tymczasem dni mijały,
Jeden, drugi, tydzień cały,
A o wojsku ani słychu.
Bają różnie, lecz po cichu.
Ten to przeczy, ten to twierdzi.—
Aż tu znowu krzyk na żerdzi!—
E! źle!— co tu rady długie?
Sułtan zebrał wojsko drugie,
A z niém młodszy syn ostatni,
Poszedł na ratunek bratni.

Kogutek znów skrzydła zwija,
Znów dzień, drugi, tydzień mija,
A o wojsku ani słychu.
A więc już i nie po cichu,
Dzieci skwierczą, żony płaczą,
Że swych mężów nie zobaczą.
A kogutek znowu wrzeszczy!

Jeszcze mocniéj.— Strach złowieszczy!
Przejął Baszów i Dadoma.
A więc nie czas siedzieć doma.
Kto mógł orężż dźwignąć w dłoni,
Na koń, na koń, i do broni!
Sułtan konno sam na przedzie,
Na wschód trzecie wojsko wiedzie.

Wiedzie, wiedzie, dniem i nocą,
By w czas synom przyjść z pomocą.
Sam na czele czat swych przednich,
Szuka śladu wojsk poprzednich.
Nigdzie żadnych!— ani szańców,
Ni bojowisk, ni mieszkańców,
Aby powziąć choć języka.
Okolica pusta, dzika.
Trzy dni idą samym borem,
Trzy dni polem;— aż wieczorem,
Dnia siódmego, wchodzą w strome,
Góry dzikie, nieznajome.
Weszli, przeszli.— Z drugiéj strony,
Jak wzrok zajrzy, smug zielony;

I u wyjścia z gór rozbity,
Stoi namiot złotolity.

Spójrzy Dadom, i w dłoń klaśnie.—
Całe wojsko, jak śpi właśnie,
Na równinie trupem leży.—
Do namiotu Sułtan bieży.
Aż tu przed nim — o żałoba!
Widzi synów — martwi oba.
Bułat w ręku, ostrz bułata
Tkwi nawzajem w sercu brata.
«O! wy dzieci moje, dzieci!
Ryknął Dadom:— «wpadły w sieci
«Sokolęta przed sokołem!"—
I uderzył w ziemię czołem.
Całe wojsko, jak tam stało,
Jednym płaczem zaplakało.
Zaplakały echem góry.—
Wtém z namiotu — słońce z chmury!
Twarz Huryski! postać pańska!
Sułtanówna Szachmachańska,
Wyszła — idzie, w pół się sroma,

W pół uśmiécha do Dadoma.—
Jak przed słońcem ptastwo nocy,
Dadom zamilkł, nié ma mocy
Wyrzec słowa: głowę kłoni,
I już tylko myśli o niéj.
Ona w namiot go wprowadza,
Obok siebie za stół sadza,
I z uśmiéchem spocząć wabi
Na łabędzi puch jedwabi.—
Dadom nie już o żałobie,
Lecz zapomniał sam o sobie;
I dzień za dniem, tydzień równo,
Przeucztował z Sułtanówną.

Ale pora wracać doma!
Wojsko woła na Dadoma.
Więc w kolasce, przy Dziewicy,
Wraca z wojskiem do stolicy.
W kraju już się rozgłosiło,
Co było i co nie było.
Więc kto żyje, co tchu stanie,
Wybiegł z miasta na spotkanie,

I tłumami biegł ulicą,
Za Dadonem i Dziewicą.
Sułtan z okiem pełném łaski,
Kłania, wita lud z kolaski.
Aż przed zamkiem, w szacie białéj,
Sam jak łabędź osiwiały,
Mędrzec Eunuch stoi w progu.
«A! jak się masz Astrologu!
«Cóż to się tak nam przyglądasz?
«Zbliż się, powiédz, czego żądasz?"—
— «Padyszachu!" mędrzec rzecze,
«Co się zwlecze nie uciecze.
«Za podany ci ratunek,
«Musim skończyć nasz rachunek.
«Patrz! kogutek tkwi na tyce.
«A więc, pomnisz obietnicę,
«Że najpiérwszą prożbę moję,
«Spełnisz jakby wolę swoję?" —
— «Zgoda! Dadon odpowiedział,
«Spełnię wszystko, bylem wiedział
«Co chcesz; ufaj łasce pańskiéj."—
— «Chcę Dziewicy Szachmachańskiéj.

«Sam bez mnie jéjbyś nie miał.”—
Sułtan pobladł i oniemiał.
«Co ty? kto ty? czyś szalony?”
Krzyknął wreście zapérzony.
— «Padyszachu! a umowa!”—
— «Obiecałem — ani słowa!
«Lecz wszystkiemu jest granica.
«I na djabłaż ci dziewica?—
«Wiész kto jestem! proś więc u mnie
«Co chcesz, ale proś rozumnie.
«Chcesz, dziel z nami kassę naszą,
«Chcesz, to zrobię ciebie Baszą,
«Wreście dam pół państwa mego.”—
— «Nie potrzeba mnie niczego,
«Prócz twéj dawnéj obietnicy,
«Szachmachańskiéj Jasnolicéj.”—
Tu już Sułtan jak za młodu,
W obec miasta i narodu,
Zapędził się, wzniósł kułaki:
«Ach! ty taki, ty owaki!
Zawrzeszczał na czém świat stoi.
«Nie chciałeś mieć łaski mojéj,

«Figa-ż tobie, djable stary!—
«I nie ujdziesz mi bez kary,
«Czarowniku!— hej powrozy!
«Wiąż go, łapaj, i do kozy!"—
A staruszek się opiéra,
Szamoce się, z rąk wydziéra,
I kryje się pod kolaską.
A wtém Sułtan grubą laską
Jak nie machnie— w samo ciemię.
Ani jęknął— bryk o ziemię.

Sułtan zląkł się, i stolica
Przelękła się; a Dziewica,
Aż zachodzi się od śmiechu,
Jakby z żartu, a nie grzechu.
Sułtan już się zaczął krzywić,
Lecz się nie śmiał jéj przeciwić,
I wysiada pod przysionek....
Wtém coś brzęczy jakby dzwonek.
Kogutek się zerwał z tyki.
«Kiki-riki, kiki-riki!"
Coś inaczéj jak na wojnę.—

Wszystkich oczy niespokojne,
Patrzą — nowość niesłychana!
A kogutek do Sułtana
Obces w oczy — dziub go w ciemię;
Aż i Sułtan, hrym o ziemię.
A ta znowu w śmiech nie smutek.
«Py-li, py-li!" — i kogutek
Jakby swojski leci do niéj.
Zwinął skrzydła, siadł na dłoni.
A ona wtém — jak siedziała,
Smyk w górę — i poleciała.

A w stolicy żal i trwoga.
Sułtana i Astrologa,
Pochowano obok siebie.
Był pogrzeb, a po pogrzebie
Stypa. — I ja na niéj byłem,
I płakałem, i miód piłem.
A miód jak baśń: pijesz — miło;
Skończysz — jakby nic nie było.

KONIEC TOMU V.

Spis rzeczy.

Str.

Mazeppa (z Byrona) 11
Peri i Raj (z Moora) 55

Ballady i Baśni.

Lenora (z Bürgera) 87
Myśliwiec (z tegoż) 101
Wierność (z tegoż) 115
Świetlana (z Żukowskiego) 125
Wieczor przed Ś. Janem (z Waltera Skotta) . . . 141
Zamek Kadyow (z tegoż) 157
Róża (z Southey'a) 173
Baśń o uśpionéj Królewnie i o najśmielszym Królewicu (z Żukowskiego) 181
Baśń o złotym Rogutku (z Puszkina) 205

OMYŁKI DRUKU.

Str. 18. w. 21. Kandował, *popraw* Skandował.
Str. 21. w. 9. Ty było imie, *popraw* To było imie.
Str. 80 w. 5. Wzniosłszy oczu, *popraw* oczy.

820-1 = 84

Biblioteka UJK Kielce
UJK
0473028